◆ O WSZECHSTRONNY ROZWÓJ OŚWIATY I CZYTELNICTWA ◇

ODRODZENIE

TYGODNIK

Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok VI | Warszawa, dnia 8 maja 1949 r. | Nr 19 (232)

ZBIGNIEW MITZNER

CZTERY MILIONY DZIENNIE

To, co jest najbliższe, to, z czym stykamy się najczęściej, przestaje po pewnym czasie zwracać naszą uwagę. Nasze przedmioty codziennego użytku, dom nasz i nasza ulica, nie skupiają na sobie stałego zainteresowania, które zwracamy ku temu, co jest nowe i rzadkie. Do kiosku z gazetami podchodzimy niemal odruchowo. Przyniesioną nam przez kolportera gazetę bierzemy do ręki, nie zastanawiając się, jakiej pracy jest ona wynikiem, i nie często zdobywamy się na zastanowienie ogólne nad rolą, jaką w życiu naszym i w życiu społecznym w ogóle odgrywa prasa, a w szczególności, czym jest prasa w Polsce współczesnej.

Tydzień bieżący nakazuje nam zastanowić się nad tą sprawą, w czym punktem wyjścia staną się liczby. Są one bowiem wyrazem nie jakiegoś przypadku czy też procesu automatycznego, ale bardzo głęboko sięgających przemian i przekształceń.

Niewiele niestety danych przynosi w tym zakresie „Rocznik statystyczny" za rok 1948, który ukazał się przed kilkoma dniami. Gorzej, obraz, jaki w sposób schematyczny „Rocznik" ten stwarza, jest błędny i z gruntu fałszywy. Według danych tego wydawnictwa w Polsce w roku 1937 ukazywały się 2 692 czasopisma, w roku 1945 — 376, w 1946 — 723, w 1947 — 742. Tego obrazu nie zmienimy, jeśli nawet dorzucimy jedną jeszcze cyfrę — 877 czasopism ukazujących się w październiku 1948 roku — według danych spisu czasopism, wydanego nakładem Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Podobny pozornie katastrofalny spadek ilości tytułów notujemy również na odcinku dzienników, których w Polsce w roku 1937 ukazywało się 184, w 1945 — 35, w 1946 — 55, w 1947 — 65, a w październiku 1948 roku — 107, licząc w tym 49 mutacji bez odrębnego nagłówka.

Czyżby istotnie nie pozostawało nam nic, jak tylko załamać ręce nad upadkiem prasy polskiej, skurczeniem się trzykrotnym jej ilości i tym samym jej znaczenia?

Ale nie zrobimy tego i nie damy się zwieść fatamorganie przedstawionej nam przez statystyków. Przepisanie przez nich wzorów tablic z przedwojennych publikacji statystycznych i wypełnienie tych wzorów nowymi cyframi — bez wyjścia poza ustalone przed wieloma laty zasady — stwarza obraz fałszywy i w rezultacie błędny. W rzeczywistości bowiem prasa polska nie obumiera i nie więdnie, ale przeciwnie — znajduje się w stanie żywiołowego rozwoju, którego tylko statystycy nie raczyli uchwycić.

Na czym bowiem polega błąd zasadniczy? Przed drugą wojną światową nie istniała w Polsce statystyka nakładów. Przyczyny tego były dwojakie — zawstydzająca wysokość a raczej niskość tych liczb i kapitalistyczna zasada, nie pozwalająca ujawniać wobec konkurentów i wobec agentów ogłoszeniowych swoich słabych stron. Toteż z trudem rekonstruując dziś te nakłady przedwojenne, dochodzimy do wniosku, iż w roku 1939 ogólny nakład wszystkich dzienników w Polsce wynosił 1.360.000 dziennie. Po wojnie zaś nakłady te wynosiły: rok 1945 — 1 118.000, rok 1946 — 1.704.000, rok 1947 — 2.330.000, rok 1948 — 3.270.000. W roku bieżącym dzienny nakład przekracza 4.000.000.

Zestawienia te nabiorą jeszcze głębszej wymowy, jeśli weźmiemy pod uwagę zmniejszenie się liczby ludności kraju mniej więcej o 30 proc., oraz fakt, iż porównania liczb nakładów z roku 1945 dokonywać by należało raczej ze stanem z lat 1922-24 niż z rokiem 1939. Wyprowadzilibyśmy wówczas liczby ogólnych dziennych nakładów wszystkich dzienników w Polsce, nie sięgające cyfry 700.000.

W rzeczywistości więc sprawa przedstawia się w ten sposób, że największy dziś nakład dziennika w Polsce a mianowicie „Trybuny Robotniczej" (marzec roku bieżącego) wynoszący 521.744 wyższy jest od nakładów wszystkich trzydziestu paru dzienników ukazujących się w Warszawie w roku 1939, który wynosił wówczas 450.000.

Podobnie, choć jeszcze bardziej jaskrawo, przedstawia się sprawa z innymi czasopismami. Ogólny tygodniowy nakład czasopism o charakterze powszechnym, z wyłączeniem zawodowych, fachowych itp., wynosi w 1939 roku 250.000. Najwyższy nakład posiadał ilustrowany „Światowid", mianowicie 56.000. Za nim znajdowało się „Kino" o nakładzie 44.000. Szczytowym punktem nakładowym „Wiadomości Literackich" była cyfra 16.000.

Tradycyjne czasopisma mieszczaństwa i dworów obszarniczych miały: „Świat" około 6.000 nakładu, „Tygodnik Illustrowany" — 3.200. „Przegląd Sportowy" drukował 16.000 egzemplarzy. Nie mówiąc już o epokowej i historycznej w prasie polskiej „Przyjaciółce" z obecnym jej nakładem 1.700.000, stwierdzić trzeba, że czasopismo „Hodowca gołębi pocztowych" rozchodzi się dziś w ilości 5 000 egzemplarzy. Liczby ogólne czasopism poza dziennikami w nakładach rocznych są następujące: rok 1945 — 74.440.000, r. 1946 — 132.724.000, 1947 rok — 172.414.500, 1948 rok — 221.811.000.

Losy prasy związków zawodowych odzwierciedlają najlepiej zachodzący przełom. Statystyka przedwojenna wykazuje katastrofalny spadek nakładów czasopism związków zawodowych, niewątpliwie nie przypadkowy, ale związany z polityką rządów sanacyjnych, z szykanami i z prześladowaniem ruchu robotniczego. W roku 1928 ogólny roczny nakład czasopism związkowych wynosił 14.000.000, w 1930 r. — 16.000.000, a w roku 1935 — już tylko 8.000 000.

Są to jedyne liczby nakładów, które uwzględniała przedwojenna statystyka, gdyż tylko polityka związków zawodowych interesowała kapitalistów, a nie ich prasa. Tu znów odnotować należy, iż nasi współcześni statystycy nie idą całkiem niewolniczo za wzorami przedwojennymi i w nowym „Roczniku statystycznym" pominęli tę pozycję znaną w rocznikach dawnych. W ten sposób zręcznie uniknęli ujawnienia w swojej publikacji dynamiki naszego życia, gdyż wówczas stwierdzić by musieli, iż nakład jednego pisma kolejarskiego wynosi dziś w stosunku rocznym 20.000.000, a ogólny jednorazowy nakład wszystkich czasopism związkowych wynosi obecnie ponad półtora miliona.

To, co piszę, to nie są notatki o statystyce, gorzkie uwagi o statystyce, ale uwagi na marginesie tablic statystycznych, w których nie umiano jakoś zmieścić rozwoju życia — w danym wypadku na ważnym odcinku politycznym i kulturalnym. Jeśli podaję te niezwykle wysokie cyfry nakładów obecnych czasopism polskich, to muszę 1945 najwyższy nakład dzienny osiągany przez dwa tylko dzienniki w Polsce („Życie Warszawy" i „Dziennik Polski") wynosił 75 000. Najwyższy nakład tygodnika w tym samym miesiącu dosięgnął cyfry 80.000.

Trudno jest zebrać te porównawcze dane; na tym jednak sprawa się nie kończy. Należy te zjawiska wytłumaczyć, a dadzą się one wytłumaczyć tylko w powiązaniu z całą rzeczywistością Polski współczesnej. Prasa, odgrywająca swoją rolę — wielką rolę — w tworzeniu się rzeczywistości społecznej, politycznej i kulturalnej, stanowi jednocześnie funkcję tej rzeczywistości i jest od niej ściśle zależna. Sama tylko dobra robota dziennikarska, wysoki poziom nie może decydować o wykreśleniu pewnej granicy popularności i rozpowszechnienia niezależnie od ustroju, od stosunków polityczno-gospodarczych.

W toczących się na terenie międzynarodowym, w Organizacji Narodów Zjednoczonych dyskusjach przedstawiciele państw zachodnich, przede wszystkim przedstawiciele Stanów Zjednoczonych starają się zacierać i zaciemniać obraz funkcji, jaką prasa odgrywa w ich krajach. Nie będziemy szukali dla nich odpowiedzi w literaturze marksistowskiej, która rolę prasy, jak i wolności słowa oraz wszelkiej wolności w ustroju kapitalistycznym określiła w sposób trwały i jasny. Ale sięgamy do wydanej gdzieś w latach trzydziestych polskiej Encyklopedii Powszechnej Gutenberga, nie mającej nic wspólnego ani z marksizmem ani z jakimikolwiek prądami postępowymi, i czytamy w niej:

„Czasopisma współczesne są w znacznej mierze przedsiębiorstwami opartymi na zasadach handlowych i obliczonymi na zysk; nie tylko pozostają w służbie celów politycznych, ale stanowią wpływowe organy propagandy interesów swoich akcjonariuszy, głównie przedstawicieli wielkiego kapitału, przemysłu i finansów. Potężny wpływ wywierają zwłaszcza trusty prasowe, do których należą setki pism różnych odcieni, jak w Ameryce trust Hearsta lub w Niemczech koncern Hugenberga (skupiający około 60 proc. prasy niemieckiej). Sięgają one czasem nawet poza granice kraju macierzystego i urabiają odpowiednio do swych celów opinię, przemilczając niewygodne sobie wiadomości, szerząc zaś i zręcznie zabarwiając te, które im są pożądane. Podobną rolę odgrywają agencje telegraficzne, jak w Stanach Zjednoczonych wszechwładna „Associated Press", która obsługuje około 1.200 gazet w różnych językach o nakładzie dziennym 20.000 000 egzemplarzy i posiada w swym ręku 100.000 mil. linii telegraficznych obok kontroli nad wiadomościami kablowymi i iskrowymi". (Tom III, str. 217, hasło „czasopisma").

Oczywiście Encyklopedia Gutenberga nie przekłada tej ogólnej oceny prasy w ustroju kapitalistycznym na stosunki polskie. Ta dziedzina czeka jeszcze na swego historyka. Wiemy jednak dobrze, że wpływy kapitalistów i obszarników na słowo drukowane nie ograniczały się do ich oficjalnych organów: „Kuriera Polskiego" i „Czasu". Wiemy o tym, iż łódzki „Głos Poranny" pozostawał na usługach obcego kapitału władającego tamtejszą elektrownią sprzedającą swój prąd po cenach najwyższych w Europie. Wiemy o tym, iż łódzki koncern „Republiki" pozostawał w rękach fabrykantów włókienniczych z firmą „Poznański" na czele. Potężny koncern „prasy czerwonej" w Warszawie, nominalnie stanowiący spółkę akcyjną, pozostawał pod kontrolą Banku Gospodarstwa Krajowego, a więc tym samym spółki sanacyjnej dwójki, Miedzińskiego, z polskimi i zagranicznymi kapitalistami. Krakowski koncern „IKC" był przedsiębiorstwem wydawniczym, związanym z szeregiem banków i właścicieli fabryk poprzez kampanie ogłoszeniowe i wymianę akcji między wydawnictwem i spółkami akcyjnymi przemysłu.

Sanacyjna cenzura i monopoliczny kolportażowy „Ruch", pozostający znów pod bezpośrednim kierownictwem biura dwójki na ulicy Brackiej — z Miedzińskim i jego ludźmi na czele — stanowiły tylko nadbudowę nad skomplikowanym systemem kapitalistycznego władania prasą, opinią i wolnością słowa w Polsce. Te nadbudówki posiadały wyłącznie czynności policyjne wykonywane w stosunku do wszelkich przejawów niezależności myśli postępowej i myśli rewolucyjnej. Dalej za nimi stał już prokurator, sąd, więzienia i Bereza.

rys. Jan Lenica

Przy takim układzie stosunków nie było żadnych powodów, dla których słowo drukowane miałoby być produkowane i rozprowadzane w myśl innych zasad niż wyroby przemysłowe i rolne. A w tym zakresie kapitaliści nie byli przecież zainteresowani w zwiększaniu produkcji i spożycia, ale jedynie swoich zysków. Nie należy oczywiście zbyt pochopnie oskarżać kapitalistów o ciągnięcie zysków z wydawnictw prasowych przed wojną. Trzeba stwierdzić obiektywnie, iż niejednokrotnie z wielkim poświęceniem przyczyniali się oni do kontynuowania wydawnictw deficytowych, z tym, iż ograniczali się do ciągnięcia zysków nie materialnych, ale moralnych i politycznych. Kampania „IKC" przeciw „Płomykowi" i Związkowi Nauczycielstwa Polskiego miała swe źródło nie tylko w zamiarze wydania przez ten koncern pisma dla dzieci, ale także w chęci położenia tamy rosnącej fali frontu ludowego w Polsce i generalnego ataku wszystkich sił postępowych na reżim sanacyjny. Prasa w ówczesnej Polsce, w olbrzymiej swej większości poddana kontroli banków, koncernów, „Lewiatana", Związku Ziemian i rządu sanacyjnego, przez swą treść i swój charakter wypełniała swą służbę dla tych wszystkich czynników.

Gdy w jednym z naszych pism przed kilkoma dniami przeczytałem wzmiankę o możliwościach wznowienia procesu Gorgonowej, stanęła mi przed oczami tamta prasa zużytkowująca cuchnący rozkład jednej mieszczańskiej rodziny do pobudzania najgorszych instynktów szerokich rzesz czytelników przez długie miesiące. Powiedzieć by można, że prasa tamta nie tylko fałszowała fakty polityczne, nie tylko ideologicznie torowała drogę hitleryzmowi i faszyzmowi w Polsce, nie tylko starała się odciąć szerokie masy społeczeństwa polskiego od Związku Radzieckiego przez dyrygowaną kampanię oszczerstw i kalumnii, ale robiła, co mogła, aby zdemoralizować społeczeństwo polskie, odwrócić je od problemów istotnych ku najchydniejszej sensacji i zbrodni, przestępstwu i zwyrodnieniu.

Nic dziwnego, że przełom, który dokonał się w Polsce w latach 1944—1945, pociągnął za sobą zasadnicze konsekwencje w zakresie prasy.. Choć bez oficjalnego dekretu, ale siłą rzeczy i zdarzeń uległa ona nacjonalizacji. Ocalałe maszyny poczęły znów produkować miliony czasopism, ale sama prasa przestała być fabryką kłamstw. Nie ma w Polsce dzienników i czasopism, występujących w interesie kapitalistów i obszarników, poza tymi nielicznymi, które ukrywały się pod pseudonimem PSL, a dziś kryją się w cieniu kościelnej kruchty i biskupich pałaców.

Ta okoliczność wpłynęła na owe zmiany ilościowe, o których mówiliśmy na początku. Okazało się, że nie jest tak, aby człowiek pracy w Polsce nie chciał czytać gazety, ale że było tak, iż nie chciał brać do ręki gazety wrogiej mu, działającej w imię obcych interesów. W odrzucaniu prasy przedwojennej mniej oczywiście było świadomego działania a więcej może zdrowego instynktu, który nakazywał poszukiwać, wbrew przeszkodom kolportażowym, pisma postępowego, rewolucyjnego, jednolitofrontowego, niż brać do ręki łatwe do nabycia, ale brudne i oślizgłe pismo kapitalistyczne. Z tą chwilą, gdy prasa nasza stała się — żeby użyć określenia Erenburga — „uboga ale uczciwa" — otworzyły się nieprzewidywane możliwości jej rozwoju. Granice tego rozwoju nie zostały osiągnięte. Niewątpliwie podniesienie oświaty i poziomu kulturalnego szerokich mas, likwidacja analfabetyzmu, podniesienie stopy życiowej, a jednocześnie rozwój przemysłu papierniczego i poligraficznego, podniesienie poziomu kadr dziennikarskich — to wszystko razem wzięte stanowi dalsze elementy ilościowego i jakościowego rozwoju naszej prasy oraz dalszego wzmocnienia jej roli.

Mamy więc dziś inną niż przed wojną prasę w Polsce. Nie możemy zamykać oczu na wszystkie jej braki i niedociągnięcia, oceniając jednocześnie właściwie i sprawiedliwie jej wielką rolę w walce politycznej i w tworzeniu świadomości nowego człowieka w Polsce w epoce budowania podstaw socjalizmu. Prasa ta szuka jeszcze swego wyrazu i podjęcia wszystkich ciążących na niej zadań. Te zadania określił Lenin w roku 1918, pisząc:

„Mniej politycznej gry słów. Mniej inteligenckich roztrząsań. Bliżej do życia. Więcej poświęcać uwagi temu, jak masy robotnicze i chłopskie rzeczywiście w swej codziennej pracy budują coś nowego".

Słowa te drukował Lenin na łamach „Prawdy". To mi przypomina, że ktoś niedawno zapytał, czy istnieje na świecie inny dziennik pod tą samą nazwą. Wydaje mi się, że w żadnym kraju kapitalistycznym nie wychodzi, wielkie przynajmniej i znane, pismo o takiej nazwie.

Oznaczałoby to, że nawet kapitaliści znają granice cynizmu i nie ośmielają się sięgnąć po słowo, tak wiele oznaczające. W tym słowie mieści się cały program i wszystkie wskazania, jakie postawić możemy także przed naszą prasą, która wiązać się musi ściśle z tym wszystkim, co się w kraju naszym dokonywuje. Gdy zrozumie ona całkowicie i do końca wielkość tych zdarzeń, stanie się tym, czym być powinna.

Zbigniew Mitzner

WIEC POKOJU W BUFFALO

ZOFIA DEMBINSKA

„CZYTELNIK" o swoich planach wydawniczych

Plany „Czytelnika" na rok 1948, jeśli idzie o wydawnictwo książek — są duże i wiele trudności należy pokonywać codziennie, żeby osiągnąć 100% wykonania.

W tym roku mamy wydrukować 260 pozycji, w nakładzie łącznym 4 miliony egz., co ma dać w sumie 60 milionów arkuszy druku. Cyfry jednak mówią niewiele. Naszej działalności nie mierzy się tylko ilością. Jesteśmy jednym z warsztatów kultury narodowej a zjawiska kultury ocenia się, jak wiadomo, bardzo różnorodnie, przede wszystkim ze względu na zawartość ideową. Te sprawy leżą nam bardzo na sercu.

Utrzymujemy kontakt z całym światowym rynkiem wydawniczym i wybieramy z niego rzeczy najcenniejsze — rzeczy prawdziwie humanistyczne, przepojone miłością człowieka pracy, człowieka dotąd bezkarnie krzywdzonego. Oczywiście najbardziej odpowiada nam bohater o postawie czynnej, walczący przeciw krzywdzie i to nie w pojedynkę, ale w solidarnej gromadzie. To jest przecież istotny nurt życia współczesnego na całym globie ziemskim. W ten sposób utrzymujemy kontakt z całą walczącą ludzkością. To samo dotyczy przekroju historycznego.

Jeśli o polskie zagadnienia chodzi — poszukujemy dzieł wprowadzających nas już na wyższy poziom kultury, która ma stać się socjalistyczna i nauczyć: jak żyć i współdziałać w warunkach wolności społecznej. To są również zagadnienia trudne. I autorzy nasi muszą tak samo ciężkie zadania rozwiązywać jak nasi inżynierowie, których powołujemy, by w błyskawicznych terminach odbudowywali lub budowali przemysł, miasta, mosty czy koleje.

Oczywiście wydajemy lub wznawiamy też dzieła, które dają obraz postępu poprzez wieki w naszej kulturze narodowej.

To jednak nie wszystko. Zjawiska kultury mierzy się jednocześnie innymi osiągnięciami, jak jakość formy i powszechność dotarcia. Dotychczas rzadko te wartości szły w parze. My chcemy je w naszej działalności pogodzić. W tej dziedzinie mamy również duże ambicje. Pracujemy nad tym, żeby radość płynąca z obcowania z mądrą, piękną książką — nie była jak dotąd udziałem garstki wybrańców losu, ale jak największej ilości obywateli naszego kraju. A to wzmaga jeszcze poczucie odpowiedzialności. To powoduje, że nad każdą książką pracuje się u nas dużo więcej, niż kiedyś pracowało się nad książkami dla elity umysłowej. Pozwalamy sobie tylko na oszczędności w

W roku 1947 wydano 4.609 pozycji książkowych w nakładzie 50.588.680.

dziedzinie gatunków papieru, żeby uzyskać niższe ceny książek. Ale językowe opracowanie, korekta i druk są dziś w sumie dużo staranniejsze niż przed wojną. Utrzymać tę jakość mimo stałego wzrostu produkcji — to drugie z tych trudno wymiernych zadań naszego planu.

Po trzecie — systematycznie organizujemy dotarcie do czytelników. Zapewniamy im starannie dobrane książki, systematycznie docierające do ich rąk, na dogodnych warunkach.

To są nasze kluby książki: Klub „Odrodzenia", Klub Dobrej Książki przy „Przekroju"; obecnie na życzenie czytelniczek „Mody i Życia Praktycznego" organizujemy nowy klub książki kobiecej p. n. Dom i Świat.

Zaczyna też wkrótce pracę Klub Wydawnictw Muzycznych. Od stycznia co miesiąc wychodzi naprawdę tania, tak tania jak w akcji KUK, książka w masowej prenumeracie, zorganizowanej na innych nieco zasadach niż kluby — p. n. Biblioteka w Prenumeracie.

Jak się orientujemy, kluby nasze spełniają doniosłą rolę; nie tylko obniżyły prawie o połowę cenę książki, ale co jeszcze ważniejsze, zaspokajają głód czytelniczy oddalonej prowincji, podtrzymują jej bezpośredni i najszybszy kontakt z najnowszą literaturą.

Te nowe kluby i bardzo duża, bo z 70 do 400 tysięcy czytelników rozbudowa Tygodniowej Biblioteki Obiegowej, naszej największej i najcelniejszej, bo docierającej masowo do mieszkań robotniczych akcji czytelniczej — to główne zręby naszego planu upowszechnieniowego na ten rok.

Do tego trzeba dodać naszą działalność w ramach Instytutu Kulturalno-Oświatowego, a więc pracę 1190 biblioteczek ruchomych, krążących wśród 73 tys. członków naszej Spółdzielni, w połowie obsługujących koła wiejskie; konkurs planowego czytania, obejmujący 536 zespołów czytelniczych i systematyczne zachęcanie do czytania przez audycje naszych Zespołów Żywego Słowa, przez organizowanie spotkań autorów z czytelnikami.

Z pozycji literatury pięknej przewidzianej na rok bieżący, największą popularnością będzie się prawdopodobnie cieszyło Narodowe Wydanie Dzieł Ada-

W roku 1948 wydano 5.225 pozycji książkowych w nakładzie 62.626.329.

ma Mickiewicza. Poza nakładem znajdującym się w ekspedycji Wydział Wydawniczy przewiduje jeszcze 3 nakłady, łącznie 125 tys. czterotomowych kompletów Serii I-ej. Poza tym ukończyliśmy właśnie i stale uzupełniamy nowymi nakładami zbiorowe wydanie powieści Żeromskiego, kontynuujemy zbiorowe wydanie dzieł Jeża, jednego z najulubieńszych autorów naszych dziadków, wydajemy kolejno — zawsze popularne powieści Kraszewskiego, z tłumaczeń arcydzieła Szołochowa, Tołstoja Aleksego, przygotowujemy Lwa Tołstoja „Wojnę i pokój", po jednej pozycji Wellsa, Dickensa, Zoli, wybór Leskowa, Gogola.

Z nowości zagranicznych czytelnicy dostaną w tym roku tłumaczenie wyróżnionych Stalinowską Nagrodą powieści radzieckich Bubiennowa, Gulii, Wiery Inber i znakomitą powieść chłopską Wirty, świetne powieści znanych już czytelnikom czeskich autorów Pujmanowej i Rzezacza — 3 powieści słynnej emigracyjnej pisarki niemieckiej Anny Seghers, egzotyczne powieści Ananda (Indie), Amado (Brazylia), Vareli (Argentyna), Prichard (Australia) i wiele innych.

Zapowiadając polskie nowości... boję się, żeby nie spłoszyć Muzy... W przygotowaniu do druku są powieści Andrzejewskiego, Brezy, Brandysa, opowiadania Kowalskiej, z najmłodszych opowiadania Czeszki, Bocheńskiego. Nad resztą jeszcze autorzy pracują. Pracuje Breza, Brzechwa, Dąbrowska, Dygat, Gojawiczyńska, Iwaszkiewicz, Krzywicka, Pogan, Putrament, Rudnicki, Watt, Worcel, J. Żuławski.

W imieniu Wydawnictwa i przyszłych odbiorców życzymy im, żeby im się dobrze pisało.

Zofia Dembińska

STANISŁAW TAZBIR

Pewna próba oświatowa czyli „Parowóz zaczął się likwidować"

1

Piszę ten artykuł z okazji Święta Pierwszomajowego i „Tygodnia Oświaty, Książki i Prasy". A więc — w atmosferze wyjątkowej w której działacze kulturalno-oświatowi powinni znajdować podnietę do pouczających obserwacyj socjologiczno-psychologicznych i do ekspiacyjnych rozważań i wynurzeń.

A jednak tak się nie dzieje: święta przechodzą, okazje mijają bez echa: oświatowcy milczą, a jeśli zabierają głos — czynią to nieśmiało, zbyt rzadko i nielicznie, piszą tylko przyczynki i relacje, dotyczące prawie wyłącznie ich praktyki codziennej i związanych z nią doświadczeń.

Nikt, oczywiście, nie będzie twierdzić, że ten wysiłek nie jest pożyteczny. Ale żyjemy przecież w dobie przemian rewolucyjnych, o przełomowym znaczeniu dla ruchu kulturalno-oświatowego w Polsce. Więc czemu tak jest? Dlaczego oświatowcy nie stawiają zagadnień szeroko, dlaczego nie formułują postulatów w dziedzinach podstawowych, dlaczego nie wyczuwa się u nich postawy rewizjonistycznej w stosunku do zagadnień organizacyjno-oświatowych, w stosunku do metod pracy?

Czyżby jeszcze było za wcześnie, aby ten cały rozgardiasz myślowy i koncepcyjny w zakresie organizacji metod, doświadczeń, badań jakoś uporządkować?

2

Korzystam z okazji, aby z mnogości tematów cisnących się pod pióro, poruszyć jeden, który — jak sądzę — wymaga szybkiej i gruntownej analizy.

Obawiam się, że sporo kolegów oświatowców nie zdaje sobie jeszcze dostatecznie sprawy ze znaczenia, jakie może mieć dla pogłębienia metod pracy oświatowej zrozumienie istoty zjawisk, które potocznie określamy słowami: „masowość" i „aktywizacja" ruchu kulturalno-oświatowego.

3

O cóż chodzi?

O to, aby

1) unaocznić, że „masowość" każdego tak zwanego ruchu kulturalnego (akcji) jest w istocie pozorna, jeśli stanowi wynik tylko zabiegów odgórnych i związanych z nimi akcesoriów, a nie sięga do pobudzenia terenu,
2) wyjaśnić, że stopniowe osiąganie rzeczywistej, trwałej masowości w jakiejkolwiek szeroko zakrojonej akcji kulturalnej jest możliwe tylko wówczas, gdy akcji tej towarzyszy równoległa, racjonalna aktywizacja jej uczestników,
3) wskazać, że racjonalna aktywizacja winna polegać na zlecaniu uczestnikom akcji — przy zastosowaniu właściwych metod — tylko takich zadań, do jakich wykonania są w większości zdolni,
4) skłonić do uznania, że dziś każde środowisko w kraju, bez względu na jego miejsce, nawet przy najniższym poziomie zaawansowania umysłowego, może być skutecznie aktywizowane przy pomocy odpowiednio podanego, słowa drukowanego, to znaczy: że możliwe jest szybkie zorganizowanie ogólnokrajowego, rzeczywiście masowego ruchu czytelniczego, jako podstawy wszelkich innych akcyj kulturalnych.

Najlepiej sprawy powyższe wyjaśni przykład świetlic i przykład pewnej próby oświatowej, przeprowadzonej ostatnio w przeszło 500 ośrodkach w różnych stronach kraju.

4

Nikt nie zaprzeczy, że rozwój różnego rodzaju świetlic przybrał charakter masowy. Trzeba sobie jednak powiedzieć, że mimo ogromnych kosztów i wysiłków ludzkich akcja świetlic nie stała się jeszcze ruchem masowym jeśli chodzi o element ludzki.

Nie tylko dlatego, że między świetlicami, jako placówkami, nie ma żadnej spójni, żadnej więzi sąsiedzkiej, ale przede wszystkim dlatego, że w świetlicach „nic się nie dzieje", że ich uczestników, ani jako zbiorowości wszystkich świetlic, ani jako poszczególnych grup świetlicowych nie łączy żadna, na miarę ich możliwości obliczona praca, praca celowa, dająca radość z jej wykonania.

Słowem, w sensie społecznym, „masowość" ruchu świetlicowego — jak dotychczas — jest raczej pozorna, gdyż podpiera ją w przemożnej większości przypadków jedynie wysiłek organizacyjny działaczy i kierowników, a nie wewnętrzna, własna aktywność uczestników. Tym należy tłumaczyć, że tak zwane życie świetlicowe toczy się od przypadku do przypadku, od zabawy do zabawy, że się często przerywa jak suplasta nić albo po prostu zamiera.

Oczywiście, jak zawsze i tu nie wolno wszystkiego uogólniać, ale czyż wyjątki, gdyby nawet były liczne, zmieniają koloryt tego obrazu,

5

Czy ten obraz dałby się przemalować, czy mógłby nabrać innych barw? Oczywiście. I na pewno się to stanie, gdy organizatorzy dojdą do przekonania, że wiecznie organizować nie można, że trzeba odrzucić fikcję jak ta, że kierownik świetlicy po krótkoterminowym kursie przygotowawczym zdoła sam wykrzesać i podtrzymać pełne, wielostronne, pulsujące życie świetlicowe. Stanie się to, gdy uczestnikom świetlic nie będzie się prezentować naraz różnych zadań, wymagających różnorodnych metod, nieraz trudnych w realizacji; zadań — na razie — ponad siłę ogółu uczestników, a więc mało atrakcyjnych i łatwo zniechęcających. Stanie się to, im prędzej i konkretniej ukaże się uczestnikom zadania, którym przy pewnym wysiłku każdy podoła, zadania, oparte o zrozumiałe wskazówki, proste w środkach, a bogate w treści. Wówczas łatwo rozbudzi się aktywność i na pewno zrodzą się samorzutni „przodownicy". Ujawnienie przez właściwą opiekę i pomoc — tych „przodowników" zasili należycie od wewnątrz, od dołu trud zewnętrznych opiekunów, pracy a nawet może ich całkiem od tego trudu uwolnić.

Czyż na okres początkowy, nie mogłaby stać się takim uniwersalnym, prostym środkiem książka z zasobami swej różnorodnej treści, dająca się wykorzystać w tylu różnych postaciach i w każdej okoliczności?

6

Sądzę, że ciągle jeszcze nie dość jasno widzimy to, co się dookoła nas w zakresie kulturalnym dzieje. Widzimy ogromne wkłady, czynione przez państwo, ale nie dostrzegamy w pełni dynamiki kulturalnej, rosnącej od dołu. Stwierdzamy z satysfakcją stały rozwój ruchu wydawniczego, powstawanie wielkiego dzieła bibliotecznego, rozszerzający się coraz bardziej zasięg organizacyj masowych, ale iluż jeszcze deliberuje nad tym, czy głód książki i wiedzy jest powszechny i silny, czy ograniczony i słaby.

Zastanawiamy się aż nazbyt często nad zasięgiem i jakością zainteresowań czytelniczych w różnych kręgach społecznych, zamiast uwierzyć, że w całej Polsce — jak długa i szeroka — odbywa się od dawna rewolucja we wszystkich mózgach; płytsza lub głębsza — ale powszechna. Popełniamy jakiś błąd niedopatrzenia; mylimy się w ocenie zjawisk, które powinniśmy znać, jeśli praca kulturalno-oświatowa — wszystkich i każdego — ma być wydajna, racjonalnie prowadzona i coraz skuteczniejsza.

Przyczyny głównej tych wszystkich niedomagań należy dopatrywać się chyba przede wszystkim w stosowaniu wciąż jakże niedostatecznie zrewidowanych metod pracy. Wskazuje na to niepokój, jaki zdradzają często oświatowcy, gdy życie stawia ich przed akcjami kulturalnymi o szerszym zasięgu, albo gdy się im mówi o metodach konkursowych, współzawodnictwie kulturalnym itp. „straszakach". Zdradzają w dalszym ciągu — jakże często — słabość do pepinierstwa i koronkarstwa w robocie oświatowej, nie doceniając siły uaktywniającej, która może rodzić się i działać współcześnie w wielu środowiskach, przez sam fakt, że te środowiska podejmują i prowadzą tę samą pracę kulturalną, ze świadomością, że jest to ich praca wspólna, oparta na jednakowych zasadach i pozwalająca mierzyć i porównywać wyniki.

7

Nie chcę być gołosłownym. Dlatego — na zakończenie powyższych uwag — sięgnę do przykładu z próby, o której wspomniałem w punkcie 3 artykułu. Właśnie zrobiono coś w rodzaju „konkursu". Ale jak? Liczono na 350—400 punktów (ośrodków), przed tym nietkniętych, a więc całkiem nowych; zatem jakby zaskoczonych „próbą". Zainicjowano próbę dość pośpiesznie, bez przygotowań „propagandowych", ale w oparciu o dokładne, pisemne wskazówki. Czas na nią przyszedł przypadkowy i dość spóźniony, zaczęła się bowiem w lutym tego roku. Zdawałoby się, że powinno ją spotkać raczej niepowodzenie. Tymczasem stanęło do „próby" 524 zespoły zamiast 350-400, obejmujące 3645 osób; w tym 1258 kobiet i 2388 mężczyzn. Któż stanął? 16—17-latków — 723, 18—20-latków 1110, 21—25-letnich — 828, 26—29-letnich — 308, 30—39-letnich — 183, 40—45-letnich — 169 itd. Pięćdziesięcioletnich ludzi było — 31.

A wykształcenie uczestników? Szkoła powszechna (pełna i częściowa) była reprezentowana łącznie przez 2112 osób, szkoła zawodowa — przez 265 osób, szkoła średnia (pełna i częściowa) — przez 899 osób. Zdołano ujawnić wśród zespołowiczów przedstawicieli 16 różnych zawodów: rolniczego — 1079 (w tym 102 robotników rolnych), różnych pracowników fizycznych i robotników — 153, różnych niższych sił technicznych i mechaników (w tym traktorzystów) — 131, pracowników leśnych (leśników) — 50, uczniów — 980, nauczycieli (głównie o niepełnych kwalifikacjach) — 183 itd.

Dano każdemu zespołowi do przejrzenia 30 różnych tematów (zagadnień) z prawem wyboru tylko jednego do opracowania w czasie 2—2½ miesięcy. Do każdego tematu objaśnionego ogólnie wytyczono odpowiednie dyspozycje i wskazano książki lub broszury, które należało przeczytać i opracować, robiąc streszczenia i dyskusje na wspólnych zebraniach. Do wybranego tematu dostarczano lekturę.

Brak miejsca nie pozwala na podanie wszystkich tematów, ani na to, jakiego wyboru doznały. Więc kilka przykładów. „O tym, czym jest Ziemia i co wiemy o jej pochodzeniu" zainteresowało się 56 zespołów, „Dlaczego należy chronić nasze lasy" — 40, „Rola kobiety w nowej Polsce" była ciekawa dla 33 zespołów, „O historii samochodu i zasadach jego budowy" chciało wiedzieć — 22 zespoły, ale „O historii statku i zasadach jego budowy" — tylko 3, „Drogi rozwoju demokracji polskiej" chciało poznać 18 zespołów, a „Rozwój socjalizmu od utopii do nauki" — 21, „Podstawowych wiadomości z ekonomii" — szukało 15 zespołów itd. itd.

Zespoły wybrały przed rozpoczęciem pracy „przodowników", z którymi odbyły się wojewódzkie trzydniowe konferencje informacyjne, połączone z ćwiczeniami. Zalecono przodownikom postaranie się o opiekunów do czuwania nad biegiem pracy; przeważna część zespołów miała takich opiekunów. Do zespołów dojeżdżali w miarę możliwości instruktorzy w celach wizytacyjnych i dla udzielania wskazówek.

Zespoły wytrwały. Próba się udała. Cóż mówią o niej uczestnicy i opiekunowie? Wiele. Przede wszystkim wyznają, że chcieliby dalej pracować: „Smutno nam teraz będzie, gdyż będzie nam ciągle czegoś brakowało, a to właśnie tych ciągle czytanych i pisanych referatów, tej dyskusji i tych różnych zagadnień poruszanych na zebraniach. Ale na drugi rok staniemy znów do pracy, już nie w jednym zespole, ale postępowo, każdy członek zespołu będzie miał swój zespół" (Olsztyńskie). Czy zrozumieli, o co chodzi, czy trafnie podpatrzyli „metodę"? Oto, co piszą jedni: „Przeczytać książkę nie jest trudno, wystarczy umieć czytać, ale poznać ją do głębi jest nieco trudniej... Nie zależy zatem ilość przeczytanych książek, czy innych pism, lecz bardzo ważnym jest jak one były czytane".

A inni: „Po zwyciężeniu wielu trudności, doszliśmy wreszcie do wyznaczonego celu. Zwyciężyliśmy wszystko, aby wypełnić powierzony nam obowiązek. My swoim czynem stwierdziliśmy, że można przy dobrych chęciach i silnej woli dokonać wszystkiego". (Łódzkie).

Dajmy jeszcze głos opiekunowi — sędziemu z zawodu: „Z przerażeniem dowiedziałem się, że opiekunem zespołu mnie wybrano. Kiedy jednak dowiedziałem się, kim są członkowie zespołu nabrałem otuchy, że obowiązkom sprostamy. Nie zawiodłem się. Wszyscy członkowie zespołu brali czynny udział w pracy. Dyskusje stały na poważnym poziomie".

Czy wszędzie tak było? Nie. Ale czyż nic nie mówi niezgrabne streszczenie chłopca, który tak tylko umiał napisać: „W tym czasie pojazd parowy zaczął się likwidować. Do tego jeszcze władze wydały surowe przepisy dla pojazdów parowych. Jak np. ażeby taki pojazd parowy nie wyprzedził dyliżansa konnego, nie wypuskał pary z kotła, jak widać konia... Takie to były przepisy nie gwizdnąć, ni pisnąć tylko leźć jak żółw". Czego ten chłopak wiejski z jakieś „Żółwiej Błoci" (Szczecińskie) szukał w historii samochodu, a przede wszystkim — w zespole rówieśników, tak samo jak on — „nieuczonych"?

Stanisław Tazbir

LUDMIŁA PROTSCHKE

Książka szuka swego czytelnika

W Tygodniu Oświaty, Książki i Prasy, który ma być przeglądem osiągnięć w dziedzinie słowa drukowanego, z drugiej zaś strony ma zmobilizować uwagę, opinię i sumienie obywateli dla sprawy kultury i oświaty, warto może wziąć za temat rozważań odbiorcę tych akcji, czytelnika. Gdy przed rokiem przeszło, przy narodzinach KUK (Komitetu Upowszechnienia Książki) robiło się obrachunek stanu prac, można było wyciągnąć pocieszające wnioski, jeśli idzie o ruch wydawniczy i spojrzeć z ufnością na miliony złotych, przygotowane w ramach Planu Inwestycyjnego na akcję biblioteczną, która już przy końcu r. 1948 przyczyniła się do powstania bibliotek gminnych w 1.600 gminach. Znak zapytania natomiast trzeba było postawić, gdy była mowa o potrzebach czytelniczych.

„Głód książki" jest w tej chwili terminem tak wytartym, że wstyd go używać — używało się go w setkach zdań, odmieniało przez wszystkie przypadki. Te deklinacyjne zabiegi były oznaką nie czego innego, jak nieznajomości stanu faktycznego. Operowało się dorywczymi obserwacjami, ułamkowymi danymi, które jednako odpowiadały na obie alternatywy: jest czytelnik — nie ma czytelnika.

Należało jednak działać. Cyfry wiadome, jak stosunek ilości tomów w bibliotekach do ilości mieszkańców, ilość gmin wiejskich pozbawionych bibliotek, wysoka stosunkowo cena książek nagliły do podjęcia akcji. Trzeba było zmienić i poprawić to, co było widoczne poprzez te cyfry: zwiększyć ilość bibliotek, rozmieścić je bardziej prawidłowo, to znaczy przede wszystkim zakładać je w gminach. Wreszcie rozpocząć produkcję tanich książek.

Rok 1948 przyniósł w końcowym wyniku 1.600 bibliotek gminnych, zaopatrzonych w milion nowych tomów. Działalność wydawnicza KUK dała 12 tytułów w 23 tomach, wydanych w dużych nakładach i bardzo tanio, które jednocześnie stały się podstawowym wyposażeniem 20.000 punktów bibliotecznych, przede wszystkim na wsi. Biblioteki społeczne, w tym głównie związków zawodowych liczyły z końcem ub. r. chyba ponad dwa miliony tomów. W bieżącym roku tempo nie słabnie, obecny zaś Tydzień jeszcze mocniej zaakcentuje ważność słowa drukowanego.

A że wszelkie „tygodnie" mają w sobie zawsze coś z rekolekcji, przez co uprawniają do natrętnych i niedyskretnych pytań, wolno na nowo postawić pytanie o stan czytelnictwa, o użytkowanie bibliotek, innymi słowy o rentowność tych na dużą skalę inwestycji.

I tutaj od razu okazuje się, że odpowiedź leżałaby chyba w kompetencjach wróżek, gdyby takie działały na „niwie oświatowej", i że nie można służyć niemal żadnymi ciekawymi cyframi. Można natomiast wyciągać wnioski słuszne, lub nie — to już rzecz przypadku — z bezpośrednich obserwacji. A więc fakt: jest spora ilość bibliotek i punktów bibliotecznych, które cierpią na brak czytelników. Jaka jest przyczyna tego zjawiska i jak temu zaradzić? Problem o tyle trudny, że nie znamy wcale rozmiarów tej choroby, aby zaś zacząć jakieś planowe działanie, trzeba wiedzieć, na jaką skalę, jakimi środkami rozporządzamy, zwłaszcza konieczny jest jakiś system sprawdzania celowości inwestycji bibliotecznych, a następnie przydatności ich w użytkowaniu.

Nie znam się na sprawach ekonomicznych, na zagadnieniach produkcji przemysłowej, ale urokiem gospodarki planowej dla laika (nie wiem, czy docenianym przez ekonomistów) jest to, że działa ona w wysokim stopniu na ludzką wyobraźnię przemyślanym uszeregowaniem cyfr produkcji i konsumcji, piękną architekturą planów rozbudowy przemysłu w określonym kierunku — wraz z wszystkimi zawartymi w tym fascynującymi możliwościami zmian i ulepszeń w życiu ludzkim. Tylko w planowej gospodarce sprawy gospodarczo-przemysłowe mogą się stać sprawą wyobraźni i marzenia, a zatem oprzeć się o nowe i nigdy przed tym nie wykorzystane siły: powszechne zainteresowanie, współzawodnictwo w pracy, współodpowiedzialność za wyniki. Planowa gospodarka musi być jednak zbudowana na liczbach. Żyjemy w epoce planowania i obliczeń. Robotnicy mają wyznaczone normy pracy, fabryki i kopalnie normy wydajności w produkcji, wiadomo nawet, jak słyszałam niedawno przez radio, że np. w pierwszej dekadzie miesiąca daje się zaobserwować niewykonywanie norm, co pod koniec miesiąca zostaje wyrównane wzmożoną wydajnością pracy. Aparat kontroli produkcji pracuje bardzo precyzyjnie, zdolny jest do stawiania bardzo ścisłych diagnoz, tak że uchybienia mogą być w porę i należycie poprawione. Znaczy to, że planowa gospodarka nie mogłaby istnieć bez nieustannych obliczeń i kontrolowania działania całego systemu gospodarczego.

Tymczasem dziedzina pracy oświatowej, w jej części nieinwestycyjnej, obywa się niemal całkowicie bez pomiarów i liczb. Zagadnienie rentowności inwestycji, takich jak biblioteki — oczywiście w sensie nie gospodarczym a społecznym — nie jest przedmiotem troski i pracy odpowiednio zbudowanego apa-

(Dokończenie na stronie siódmej)

JANUSZ BOGUCKI

DROGA HEROICZNEGO REALIZMU

Zmienny przebieg dziejów człowieka i dziejów jego sztuki wyrażał się dotąd okresami krystalizacji treści humanistycznej, którym sztuka daje świadectwo swą siłą i prostotą, oraz okresami uwiądu i niewiary w człowieczeństwo, znaczącymi się w dziełach gorączkową komplikacją i bezradną oschłością form. Zjawisko to, towarzyszące kolejnym przekształceniom układu sił społecznych, wiąże się do głębi z osobistym losem artysty, którego świadomość twórcza odbija w sobie i wartościuje losy współczesnych pokoleń. To właśnie wartościowanie „wymierzające sprawiedliwość widzialnemu światu" jest — jak sądzę — istotną miarą osobowości twórczej człowieka. Jest też równocześnie miarą jego myśli i instynktu historycznego, który ze splątanych nurtów ideowych współczesności wybrać pragnie treść najsłuszniejszą.

Felicjan Kowarski — Portret zbiorowy z uczniami

Stosunek między wartością osobistą twórcy a jego historycznym uwarunkowaniem nabiera szczególnego napięcia w okresach schyłkowo-formalistycznych, gdy zamęt rozkładającej się epoki przesłania sobą jeszcze niedojrzałe formy nowego życia. W okresach takich wielcy nawet artyści błąkają się niespokojnie, szarpani na przemian pasją i zwątpieniem, walczący namiętnie ze światem, który jeszcze ich więzi, nieufni wobec świata, który ma nadejść. Nie łatwo jest przekroczyć to pogranicze pogardy i lęku. Wielu więc cofa się w dziedzinę fantastyki i nieczytelności, maskami nonsensu zasłaniając swoje gniewne i wystraszone twarze. Równocześnie jednak inni, mniej liczni, nie ulegają pokusie schyłkowej współczesności, lecz skupioną wolą i przenikliwym widzeniem usiłują się przebić ku brzegom trwalszego jutra. Artystą takim w epoce schyłku kultury mieszczańskiej i u progu kultury społeczeństwa ludowego był Felicjan Kowarski, malarz, rzeźbiarz i architekt.

Twórczość Kowarskiego rozwija się w okresie jednego z najtrudniejszych przełomów w znanych nam dziejach społeczeństwa ludzkiego i jego cywilizacji. Powolne i skomplikowane dogasanie bogatej kultury mieszczańskiej w okresie imperializmu, przerywane wstrząsami klęsk wojennych, rewolucji i rozległych kryzysów gospodarczych — skłaniało jednych do szukania pociechy w zmysłowej powierzchni zjawisk, drugich do piętnowania niedorzeczności bytu w dziejach gniewnej i zrozpaczonej wyobraźni, trzecich do szlachetnych w intencji lecz słabo ugruntowanych prób wskrzeszania historycznego humanizmu w oparciu o ideały burżuazyjno-liberalne.

Te trzy postawy ludzkie, znamienne dla omawianego okresu, nasycały sobą w zmiennych proporcjach klimat mieszczańskiej Europy od lat osiemdziesiątych zeszłego stulecia aż po najbliższe nam czasy, osiągając pełnię swego wpływu w okresie międzywojennego dwudziestolecia. Tym sposobem widzenia i rozumienia świata dała niewątpliwie wyraz sztuka ówczesna, wrażeniową radość zmysłów powierzając palecie kolorystycznej, rozterkę, gniew i trwogę — warsztatowi eksperymentatorów, liberalny neo-humanizm — klasycyzującym eklektykom, których z drugiej strony zaprzęgały do swego rydwanu rządy faszystowskie i półfaszystowskie. Ten schematyczny podział na trzy typy widzenia malarskiego komplikował się — rzecz prosta — w sposób niezwykle różnorodny, tym bardziej, że czasy, o których mowa, rozwinęły, w stopniu niespotykanym poprzednio, wiedzę o sztuce epok minionych i lądów egzotycznych, wnikającą nurtami wielokształtnej inspiracji w świadomość tworzących artystów.

W tak kształtującym się kłębowisku sprzecznych nurtów torował sobie drogę Kowarski, malarz, który przed wojną zyskał sobie opinię romantycznego epigona, a w którym dziś skłonni jesteśmy widzieć pierwszego w Polsce świadomego twórcę wielkich form ludowego realizmu. W tej właśnie sprzeczności sądów o Kowarskim ujawnia się konsekwentna ciągłość jego drogi, której nie umiała a zapewne i nie mogła dostrzec międzywojenna krytyka i opinia artystyczna.

Kowarski bowiem nie poddał się nigdy w sposób wyłączny żadnemu z wymienionych tu nurtów, wszystkie one natomiast zostały przez artystę wchłonięte i ulegając stopniowo wewnętrznemu przerabianiu, ukształtowały się w ostatnim okresie twórczości w formę całkowicie dojrzałą i jednolitą. Niemniej zapowiadające tę formę znamiona jego własnego stylu widzimy już w pracach najwcześniejszych. Na wystawie pośmiertnej jego dzieł obserwować można, jak styl ten powolnie i trwale się krystalizuje, zasilany narastającymi wartościami wiedzy i doświadczenia.

Jest w tym dojrzewaniu jakaś zdumiewająca siła instynktu twórczego i ciężar skupionej woli, którego nie spotykamy u żadnego chyba z artystów współczesnych Kowarskiemu. Ciężar skupionej woli — nie jest to definicja retoryczna, ciężar ten bowiem ujawniający się w każdym dziele Kowarskiego stanowi szczególnie trwałą i istotną cechę jego twórczości, wynikającą nie tylko z osobistego temperamentu, lecz wykształconą niejako w zmaganiu się człowieka z burzliwym biegiem współczesnej mu historii. Tylko dzięki tej woli nabrzmiewającej nieustannym czujnym wysiłkiem artysty nie popadł Kowarski ani w eklektyzm „muzealny", po którego krawędzi niejednokrotnie kroczył, ani w żadną ze współczesnych mu malarskich manier.

Jakiż był kierunek działania tej woli, jaka miara wartościująca i treść wewnętrzna, która nie dawała zgody na zanurzenie się w urzekającym innych koloryzmie lub bujnym kłębowisku kierunków eksperymentalnych? Tą treścią i tą miarą decydującą o wyborze środków plastycznych była dla Kowarskiego głęboka i samotna na tle współczesnego życia wiara w człowieczeństwo i nacechowana szczególną wrażliwością miłość do otaczającej człowieka natury.

Felicjan Kowarski — Uchodźcy

Tej swojej treści wewnętrznej nie mógł artysta wyrazić ani powierzchownymi wdziękami koloryzmu ani żadną ze spekulacyjno-fantastycznych metod eksperymentalnych. Kierunki te wyrosłe z rozkładu świata mieszczańskiego, dające wyraz zwątpieniu w jego wartości przeciw ciemnym siłom zwątpienia i zagłady. Ten ładunek ideowy, jakkolwiek nie związany jeszcze świadomie z konkretną treścią współczesnej historii, stanowi już niewątpliwą zapowiedź dzieł z okresu dojrzałości, w których treść ta utrwala się pełnią osobistego przeżycia.

Wskazałem tu na przyczyny, które powodowały długotrwałą powściągliwość Kowarskiego w stosunku do malarstwa kolorystycznego i eksperymentalnego, skłaniając go równocześnie do wiązania się ze sztuką historyczną. Powściągliwość ta nie była jednak bynajmniej wynikiem niezrozumienia eklektyka dla zdobyczy nowoczesnych „izmów". Zdobycze te Kowarski znał i cenił wysoko, włączając je coraz szerzej w organizm własnej koncepcji malarskiej w miarę, jak dojrzewała ona i krzepła w jego twórczej świadomości. Odpowiednikiem formalnym postawy romantycznego humanizmu było u Kowarskiego niezwykle głębokie poczucie klasycznej miary w organizowaniu malarskich elementów dzieła. Ten właśnie instynkt „klasyczności" związany z dramatyczną siłą procesu twórczego wyróżnia obrazy Kowarskiego spośród bliskich mu pozornie prac licznych podówczas galwanizatorów malarstwa muzealnego. Wystarczy porównać starannie wylizane płótna ówczesnych naszych „holendrów" i „renesansistów" z brutalną fakturą szpachlową i syntetyzującą deformacją postaci ludzkich w „Wędrowcach", by ocenić przepaść między lękliwym niewolnictwem wobec wzoru historycznego a twórczym wykorzystaniem go.

Jest rzeczą znamienną, że proporcja elementów historycznych i nowoczesnych w warsztacie malarskim Kowarskiego zmienia się w miarę rozwoju artysty, wykazując stopniowy zanik pierwszych na rzecz drugich. Im bardziej świadoma i dojrzała jest postawa wewnętrzna artysty, tym mniej szuka ona oparcia w historii, tym śmielej i głębiej czerpie z doświadczeń nowoczesnych. Wzajemny stosunek wymienionych tu wartości w obrazach okresu powojennego można by scharakteryzować następująco: utrwala się „klasyczność", sięgająca do źródeł rzeźby wczesno-helleńskiej a widoczna w monumentalnym porządku i antycznej niemal równowadze ostatnich wielkich płócien Kowarskiego. Klasyczność ta, głęboko przetrawiona wewnętrznie i daleka od wpływu jakichkolwiek bezpośrednich wzorów, wiąże w sobie w sposób niespodziewanie zgodny i konsekwentny dwa przeciwstawne elementy sztuki nowoczesnej: wartości kolorystyczno-fakturalne impresjonizmu oraz wartości bryły, kompozycji i kształtowania przestrzennego, właściwe kręgowi Picassa.

Wyliczone tu pozycje sztuki dawnej i nowoczesnej można by jeszcze przy pomocy bliższej analizy mnożyć i różnicować. Najważniejsze jest jednak to, że pozycje te nie stanowią już w okresie dojrzałym — jak to po części bywało dawniej — wykazu wpływów. Określają raczej gatunek budulca, z którego artysta formuje swoje dzieło. To ostateczne wyklarowanie się własnego stylu i opanowanie budulca wynika nie tylko z dojrzałości osobistej artysty, związanej z upływem lat, ale w ogromnej mierze z przeżyć okupacji i twórczego wrośnięcia w żywy nurt walki o sprawiedliwość społeczną i wolność człowieka, który zawsze bliski był humanizmowi Kowarskiego. Tak więc zmiana podłoża historycznego ustawiła jakby na nowo warsztat romantycznego samotnika, wyzwalając go z samotności i przynaglając w sposób naturalny jego rozwój zarówno w sensie formalnym, jak ideowym.

Humanizm Kowarskiego rozwijający się do 1939 roku jakby poza bezpośrednio doznawaną rzeczywistością, odnajduje w latach późniejszych swój naturalny grunt historyczny i wyzbywa się pewnych rysów historyzującej idealizacji, przekształcając się w styl, który nazwałbym heroicznym realizmem.

Motyw jednostek skrzywdzonych losem przestaje być w „Uchodźcach" lub w studiach do „Ghetta" dramatem romantycznej wyobraźni — odnajduje bowiem swój czas i miejsce, odnajduje swoich bohaterów, których krzywda i śmierć otaczały nas zewsząd bliskie i rzeczywiste. W dziełach Kowarskiego, rozwijających ten motyw w latach okupacji i po wojnie, nuta patetyczna ustępuje niejako na drugi plan, dając miejsce głębokiej powadze ludzkiego współczucia. „Uchodźcy" nie tworzą już pomnikowej grupy, którą artysta zbudował kiedyś z postaci „literackich" nieco „Wędrowców". Zwyczajni wiejscy ludzie z dzieckiem i czarnym pieskiem wloką się przygarbieni nieszczęściem pod wielkim niebem wojny i klęski, rozwidnianym światłami pożarów. Monumentalność tej prostej sceny jest tu wyrazem powszechności nieszczęścia ścigającego bezdomnych.

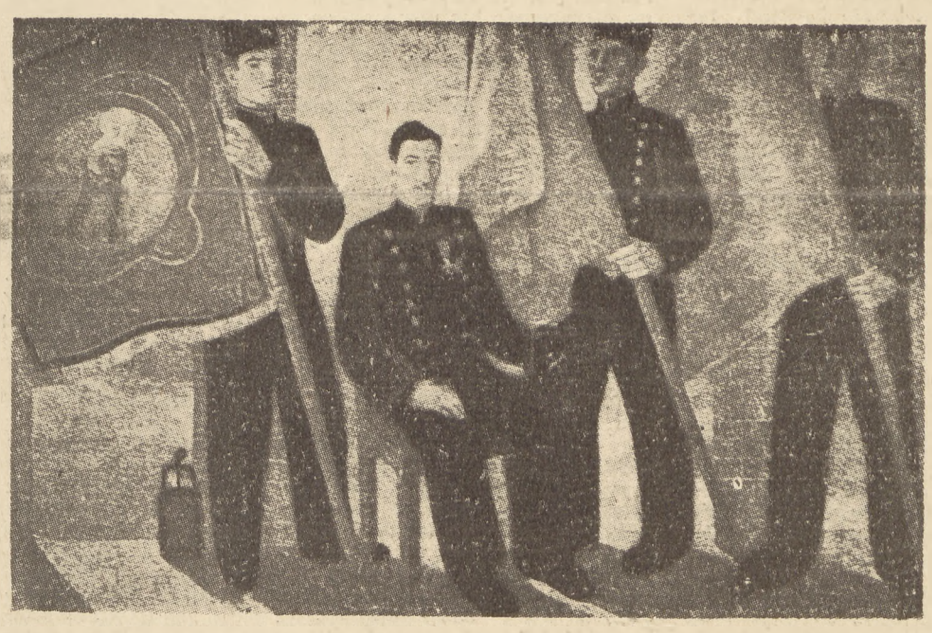

Felicjan Kowarski — Pstrowski

W obrazach tych, uderzających monumentalną dynamiką form, dramatyczny patos nie jest już patosem pustki i osamotnienia. Wyraża on wolę walki i wiarę w jej słuszność, głosząc piękno braterstwa ludzkiego, sprzymierzonego

Z podłoża doświadczeń wojennych, przełamujących się w dojrzałej refleksji myśliciela-humanisty, powstał dziwny cykl niedokończonych kompozycji pod nazwą „Człowiek". Jest to głęboko osobiste wyznanie wiary w trwałość kultury ludzkiej, która wbrew barbarzyństwu wojennemu odradza się zawsze w świecie wolności i harmonii wewnętrznej. Świat ten ukazany jest nam jakby u swoich legendarnych źródeł: w elegijnej pogodnej zadumie nad szczątkami helleńskiej kultury. Oto Elektra wśród zwalisk architektury, zdająca się wyrażać tragizm przemijania. Oto młodzieńczy Efeb wśród połamanych rzeźb — sam niby posąg młodości odradzającej się z gruzów minionego piękna.

Ten cykl wizji helleńskich pomimo pozornej pozaczasowości ma swoje istotne miejsce historyczne jako pomnik optymizmu humanisty, wzniesiony na ziemi, z której wczoraj zaledwie spłynął niszczący żywioł wojny.

Optymizm wyrażający się jasną gamą i pogodną harmonią obrazów cyklu „Człowiek", stanowi element zupełnie nowy w malarstwie Kowarskiego, cechujący dopiero najdojrzalszy, powojenny okres jego twórczości. Postawa ta nabiera szczególnej siły w dwóch obrazach o tematyce współczesnej, nawiązujących do motywu kompozycji wielofiguralnych sprzed roku 1939: w portrecie Pstrowskiego i w „Proletariatczykach". Nie jest to wszakże łatwy optymizm „oficjalnego" malarstwa. Zarówno w cyklu „antycznym", jak w dwóch wymienionych pracach czuje się trud dojrzałości, która ten optymizm formowała. Stanowi on podstawowy współczynnik owego heroicznego realizmu, którego dopracował się Kowarski w ostatnich swych dziełach.

W portrecie Pstrowskiego jego postać nie jest poddana żadnej idealizującej stylizacji. Siedzi on pomiędzy chorążymi trzymającymi trzy sztandary, ciężki i trochę niezgrabny, dumny i jednocześnie jakby zakłopotany powagą odświętnej sytuacji. Jest w tym wizerunku wielka godność człowieka pracy a zarazem realizm ukazujący go bez zdawkowych upiększeń w owym uroczystym usztywnieniu, które zwykł przyjmować

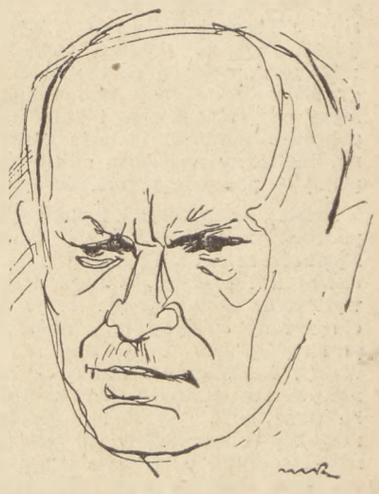

rys. Marek Rudnicki

Felicjan Kowarski

pozując do zdjęcia fotografowi. Tę realistyczną spostrzegawczość potrafił Kowarski wbudować w monumentalny układ całości, wznosząc pierwszy w Polsce portret-pomnik ku czci bohatera-robotnika. Pokrewne zadanie podejmuje w „Proletariatczykach", rozwiązując je bodaj że jeszcze trafniej w kierunku maksymalnego uproszczenia i syntetycznej zwartości środków malarskich. Niezwykła prostota tych środków wiąże się tu też z najdojrzalszą koncepcją treściową w malarstwie Kowarskiego: heroiczny optymizm płynący z wiary w słuszność i zwycięski koniec podjętej walki przezwyciężą tragizm osobistych losów tych pięciu skazanych na śmierć.

*

W rozważaniach tych, na przykładzie dzieł, związanych najbardziej bezpośrednio z podłożem ideologicznym malarstwa Kowarskiego, starałem się określić mechanizm rozwoju jego sztuki, której sens dopiero z perspektywy dzisiejszej ukazuje się nam w pełnym wymiarze i logicznej ciągłości. Droga twórcza Kowarskiego — na tle słabo zróżnicowanej społeczności naszych kolorystów i eklektyków przedwojennych — była zjawiskiem o niezwykłej sile i zwartości. Pozornie anachroniczna w zestawieniu z ówczesnymi smakami malarskimi — okazała się w rezultacie drogą ku przyszłości, której nadejścia nie przewidywała podówczas opinia „salonów" i kawiarń. Nie przewidywał zapewne kształtu tej przyszłości i sam Kowarski, niemniej pracował dla niej nieustannie, pogłębiając prawdę swego humanistycznego widzenia i osłaniając je tarczą samotnego romantyzmu przed zwątpieniem i lękiem schyłkowej epoki. Doświadczenie wojny i współczesnych nam wielkich przemian społecznych rozszerzyło osobowość twórczą artysty, pozwalając jej wrosnąć w realny i sprzyjający jej rozwojowi grunt społeczno-historyczny.

W procesie tym wszakże nie ma żadnego automatyzmu. Tylko olbrzymi i nieustający wysiłek osobisty Kowarskiego pozwolił mu na wytrwanie w tej trudnej drodze i osiągnięcie dojrzałości i harmonii wewnętrznej jego ostatnich dzieł. Napięcie tego wysiłku, ciężar skupionej woli, widoczny we wszystkich jego pracach, staje się nie tylko składnikiem treści, ale cechą formalną jego sztuki. Odnosi się wrażenie, że mechanizm twórczy Kowarskiego, zgarniając w siebie wartości sztuki dawnej i współczesnej, miele je w swym wnętrzu, zgęszcza i ugniata, tworząc z nich nową, własną materię i formę plastyczną. Widać to w gęstej, „zagniecionej" fakturze malowideł olejnych i rzeźb, w charakterystycznym wytłaczaniu bryły, w ciężarze i nasyceniu barw. Żarliwość, z jaką Kowarski budował swą formę, wyzwalała w nim jakąś pierwotną, na poły barbarzyńską siłę widzenia, właściwą naiwnemu realizmowi kultur prymitywnych i niedojrzałych. Ten element „barbarzyński" stanowi w sztuce Kowarskiego trwałą przeciwwagę dla jego niezwykle rozległej wiedzy i kultury malarskiej. Manifestując się w brutalności modelunku i faktury oraz skłonności do form zwięzłych i jednoznacznych — element ten, obok konsekwentnej postawy humanistycznej, stał się istotną siły artysty, najpierw w zachowaniu samodzielności, potem w jej twórczym rozwinięciu w dosadną i czytelną mowę realizmu.

Tak więc zarówno wiedza i świadomość, jak dyspozycje wewnętrzne uczyniły Kowarskiego artystą, który tą trudną i prostą mową pierwszy u nas wyraził nowe treści odradzającego się życia. Właściwe mu poczucie wielkości nadało widzeniu realisty miarę i siłę, która los ludzki widzi i ustawia w heroicznym planie historii.

Janusz Bogucki

„Co myślą Amerykanie"?

Dziesięć lat temu narody świata z niepokojem wsłuchiwały się w chrapliwe, skandowane ryki, dochodzące z Trzeciej Rzeszy, z państwa Adolfa Hitlera. Rozumiano, że stamtąd grozi światu nieszczęście, że tam dojrzewa zbrodnia, że tam się przygotowuje śmiertelny zamach na pokój. Nieliczni tylko wiedzieli, że nici spisku zbiegają się w innych rękach, że poprzez usłużne palce Chamberlainów i Daladierów snują się daleko za ocean, do głównych ośrodków dyspozycyjnych kapitalizmu, do nowojorskich i bostońskich banków i trustów. Szerokie jednak masy społeczeństw europejskich dopiero znacznie później miały się dowiedzieć o tych misternych powiązaniach między wykonawcami zbrodniczych planów, a ich inspiratorami, przeciw którym zresztą plany te miały się niebawem obrócić. Wtedy jeszcze, wiosną i latem 1939, dla milionów prostych ludzi tylko Niemcy hitlerowskie były tym krajem, który napełniał Europę i świat niepokojem, wzniecał histerię wojenną, budził w narodach miłujących pokój — poczucie zagrożenia.

Dzisiaj, w dziesięć lat później, w podobnej roli znalazły się Stany Zjednoczone. Jeśli pamiętne niedawnych nieszczęść, z najwyższym wysiłkiem odbudowujące swoje życie narody europejskie z niepokojem myślą dziś o groźbie nowej wojny, o możliwości nowej męki i nowych straszliwych ofiar, to trzeba powiedzieć wyraźnie, że ten niepokój kojarzy się w ich świadomości z myślą o wielkim kraju za oceanem. Jak przed dziesięciu laty radiostacje niemieckie napełniały świat rykiem wojennych okrzyków, tak dzisiaj — przy akompaniamencie również antysowieckiej i antykomunistycznej frazeologii — czynią to różne „głosy Ameryki", różni pojętni nowojorscy i waszyngtońscy uczniowie przeklętej pamięci Józefa Goebbelsa. I jest doprawdy ciężką winą obecnego rządu Stanów Zjednoczonych wobec własnego narodu, że stworzył — i jemu i nam — sytuację polityczną i moralną tak bardzo podobną do sytucji: Niemcy — Europa 1939. Jest ciężką winą reżimu p. Trumana, że doprowadził do stanu, w którym Włoch czy Francuz, Polak czy Rosjanin, wymawiając słowo: wojna, nieodparcie myśli od razu: Ameryka, wymawiając słowo: zniszczenie, myśli od razu: USA. Naród, który miał w swej historii Jeffersona i Lincolna, doczekał się tego rodzaju sytuacji.

Tym usilniej przeto Europejczykowi, przyjeżdżającemu dziś do Stanów Zjednoczonych — niezależnie nawet od takiej czy innej konferencji czy kongresu — narzuca się jedno przede wszystkim, najuporczywsze pytanie: co myśli przeciętny, „szary" obywatel USA — o wojnie i pokoju. Byłoby rzeczą co najmniej lekkomyślną szukać dostatecznie wyczerpującej, pełnej i pewnej odpowiedzi na to pytanie — w tych szczupłych granicach obserwacji, jakie daje kilkunastodniowy pobyt w wielkim i tak bardzo różnym od Europy kraju, pobyt ograniczony zresztą głównie do metropolii nowojorskiej. I w tych warunkach można jednak, przy największej ostrożności sądów i wniosków, zebrać przynajmniej pewne przesłanki i uszeregować je w łańcuch jako tako poprawnego rozumowania. Zaryzykujmy taką próbę.

Co oznacza, z czym się kojarzy słowo „wojna" w umyśle przeciętnego Amerykanina? Dotychczasowe

LEON KRUCZKOWSKI

TEMATY AMERYKAŃSKIE*)

doświadczenie mówi mu, że wojna to wysoka fala koniunktury gospodarczej, wzmożenie wysiłku produkcyjnego, likwidacja bezrobocia, potężny rozwój sił wytwórczych. Zniszczenia — żadne, straty ludzkie — minimalne (druga wojna światowa kosztowała Stany Zjednoczone mniej ofiar ludzkich niż je powodują corocznie wypadki samochodowe), cierpienia i dolegliwości — chyba tylko te, że nylony są na kartki, a na nowy samochód trzeba czekać kilka lub kilkanaście miesięcy od daty zamówienia... Rola USA w dotychczasowych dwóch wojnach światowych, to przede wszystkim rola gigantycznego **producenta** i **dostawcy**, a w rezultacie rosnącego **wierzyciela** państw i narodów — ze wszystkimi politycznymi konsekwencjami tego faktu.

A pokój? Pokój w odpowiednio kształtowanej świadomości kołtuna w USA, to odpływ koniunktury, ograniczanie produkcji, depresja, widmo kryzysów, bezrobocie. Pokój, a zwłaszcza długotrwały pokój, to niebezpieczeństwo zachwiania wiary w doskonałość ustrojową „amerykanizmu", a utrata tej wiary to pustka, zupełna pustka wewnętrzna, bankructwo całego systemu myślenia, kula w łeb, skok z setnego piętra Empire State Buiding...

Tak mniej więcej dylemat: wojna - pokój, wygląda w oczach nie tylko kapitalisty amerykańskiego ale, miejmy szczerość to powiedzieć, w oczach nawet części amerykańskiego proletariatu, którego świadomość społeczno - polityczna nie przebiła się jeszcze przez anachroniczne już dla nas w Europie, wczesne fazy rozwojowe, wciąż skłonna karmić się najzgubniejszymi złudzeniami. Wprawdzie pierwszy wielki kryzys lat 1929 — 1930, który w Ameryce miał przebieg i charakter wręcz huraganowy, charakter żywiołowej katastrofy, wstrząsnął potężnie umysłami klasy pracującej, robotników i inteligencji; wprawdzie później okres New Dealu zdawał się zapowiadać powstawanie bardziej rewolucyjnych form ruchu robotniczego; zdaje się jednak, że reakcyjny kurs trumanowski po drugiej wojnie procesy te w pewnym stopniu zahamował.

Bez wątpienia, istnieją dziś w Stanach Zjednoczonych poważne siły antywojenne. Obok prześladowanej coraz bardziej partii komunistycznej reprezentuje je, w skali najbardziej masowej, przede wszystkim Unia Kościołów Protestanckich, obejmująca swoim wpływem organizacyjnym około 40 milionów obywateli USA. Niejednokrotnie podnosiła ona głos sprzeciwu wobec polityki zagranicznej swego rządu, a wielu czołowych ludzi Unii z wyższego i średniego duchowieństwa brało czynny udział w organizowaniu konferencji nowojorskiej. O stanowisku antywojennym większości naukowców i pracowników kultury wspomniałem już poprzednio i jeszcze wrócę do tej sprawy. Do sił pokojowych zaliczyć należy również niektóre z wielkich grup narodowościowych emigracji pochodzenia europejskiego, np. Włochów. Osobną pozycję, w tej chwili jeszcze o wartościach raczej potencjalnych, stanowi 15-milionowa ludność murzyńska, która wprawdzie też ma swoją warstewkę oportunistycznej burżuazji, w większości jednak coraz bardziej dojrzewa w swojej świadomości już nie rasowej tylko ale **narodowej** — i wcześniej czy później tworzyć będzie jeden z poważnych czynników amerykańskiej rewolucji.

W sumie są to jednak siły, które dopiero w oparciu o wielki, światowy ruch pokoju, mogłyby dzisiaj już skutecznie stawić czoło obozowi amerykańskich podżegaczy wojennych. Nie tylko ze względu na potęgę i prawie monopolistyczne skupienie wszelkich środków propagandy masowej w rękach reakcyjnej burżuazji i nie tylko ze względu na niski jeszcze poziom świadomości społeczno - politycznej klasy robotniczej USA — ale bodaj w głównej mierze ze względu na wyżej określony odrębny sposób pojmowania wojny przez przeciętnego Amerykanina, pojmowania wojny w kategoriach gospodarczych, jako potężnego bodźca produkcji i wysokiej koniunktury — bez żadnych poważniejszych dolegliwości czy ofiar. Chciałbym się mylić, ale wydaje mi się, że większość społeczeństwa amerykańskiego jest mentalnie na tyle nieodporna na przygotowania do wojny — bez względu na to, pod jakimi hasłami „ideologicznymi" miałaby być wywołana — na tyle przygotowana do **zaaprobowania** wojny, na ile mu wystarcza całe dotychczasowe doświadczenie, amerykańskie doświadczenie pierwszych dwóch wojen światowych. Jednostronność tego doświadczenia i brak wskutek tego dostatecznie rozwiniętej wyobraźni osłabia w umyśle przeciętnego Amerykanina refleksję, że przebieg i charakter ewentualnej trzeciej wojny światowej może ją tak różnić od drugiej, jak dla nas ta różniła się od pierwszej...

To ostatnie zdanie wymaga może drobnej korektury. Mówiono nam o pewnych objawach w dzisiejszym potocznym życiu przeciętnego Amerykanina, które świadczyłyby o jego niezupełnej już pewności co do tego, czy np. Nowy Jork w przyszłej wojnie będzie czy nie będzie bombardowany? Zdaje się jednak, że nie to jest głównym źródłem zjawiska, jakie stwierdzają dziś neurologowie i psychiatrzy amerykańscy: dość powszechnego w społeczeństwie USA uczucia **insecurity**, uczucia stałego zagrożenia. Sądzę, że uczucie to nie płynie nawet z systematycznej propagandy „niebezpieczeństwa sowieckiego" w prasie amerykańskiej, której to propagandy ofiarą padają raczej, jak dowodzi wypadek Forrestala, sami jej aranżerowie. Nie, głównym bakcylem tego uczucia jest raczej paniczny lęk przed kryzysem, lęk żywiony niewykorzenioną wciąż pamięcią o owym pierwszym, „huraganowym" kryzysie sprzed lat dwudziestu. W kraju, nie znającym prawie wcale ustawodawstwa socjalnego, w kraju, w którym człowiek pracy może dosłownie z dziś na jutro, bez żadnego okresowego „wymówienia", stracić nie tylko pracę i zarobek ale — jeśli nie wypłacił rat do końca — za jednym zamachem również dom, samochód, meble, lodówkę i radioodbiornik, w kraju mającym już dzisiaj trzy miliony bezrobotnych — uczucie „insecurity" musi być stałym towarzyszem człowieka pracy i jego rodziny, jest po prostu trującą wydzieliną samego ustroju.

Myli się jednak ci, którzy widmo nadciągającego kryzysu w Stanach Zjednoczonych gotowi są traktować jako sprzymierzeńca sił pokojowych świata. Niewątpliwie, wielkie kryzysy gospodarcze w ustroju kapitalistycznym mogą skutecznie przyśpieszać wzrost świadomości i dynamiki rewolucyjnej mas, ale — zwłaszcza, z wyłuszczonych wyżej powodów, w dzisiejszym społeczeństwie amerykańskim — lęk przed kryzysem może stać się również psychologicznym punktem oparcia dla dźwigni wojennej w rękach najbezwzględniejszej i najbrutalniejszej ze wszystkich oligarchii finansowej USA i jej ukrytych i jawnych wspólników w rodzaju osławionego kardynała Spellmana, którego zdjęcie w roli grabarza — dosłownie: z łopatą w ręce — zamieściła niedawno cała prasa amerykańska. (Kardynał osobiście przewodził łamistrajkom w czasie słynnego strajku grabarzy nowojorskich).

Czy to ma znaczyć, że wojna jest nieunikniona tak, jak nieunikniony jest kryzys w Ameryce? Trudno byłoby zgodzić się na tego rodzaju automatyzm. To, że Amerykanie przywykli widzieć wojny światowe jako okresy koniunktury gospodarczej, nie znaczy wcale, że są gotowi wojować, bić się „własnoręcznie", w szczególności bić się z jakichś pobudek ideologicznych, światopoglądowych. Wynika to zresztą z ich zasadniczego, bardzo osobliwego stosunku do polityki w ogóle i do działalności politycznej. Oto co pisze na ten temat angielski socjolog Geoffrey Gorer w wydanej niedawno książce o charakterze narodowym Amerykanów („The American People"), opartej na siedmioletnim studium przedmiotu:

(Dla Amerykanina) „politycy nie są podejrzani, jeśli się wie, że weszli do polityki dla osobistych korzyści, tzn. aby zrobić pieniądze lub karierę. Uchodzi to za rzecz normalną i zrozumiałą, za interes na granicy legalności, za coś takiego, jak szmugiel wódki w „suchych" stanach... I dlatego korupcja w polityce jest uważana za gwarancję czystości intencji, oznacza, że ktoś wszedł do polityki, aby zarobić, a nie dla jakichś innych, ponurych (!) powodów. Natomiast człowiek podejmujący działalność polityczną z innych pobudek niż bezpośrednia korzyść osobista jest głęboko podejrzany".

Charakterystyka powyższa ma pełne pokrycie w tym, co powszechnie wiadomo o rzeczywiście niesłychanym i urzędowym niejako skorumpowaniu amerykańskiego życia politycznego, choćby o instytucji tzw. „lobby", jawnego niemal kupowania kongresmenów i senatorów dla głosowania w określony sposób nad taką czy inną ustawą (czym przeważnie zajmują się damy w średnim i więcej niż średnim wieku, oczywiście za osobną prowizją dla siebie).

Ten, najdelikatniej mówiąc, ściśle komercjalny i na wskroś drobnomieszczański stosunek do polityki wyznacza — rzecz prosta — również stosunek do wojny. Praktycznie biorąc prowadzi to do następującej konkluzji: Wojna wraz ze swoimi niszczycielskimi skutkami jest poważnym przedsięwzięciem gospodarczym, a jeśli chodzi o inne, bardziej „ponure" powody do jej prowadzenia — te trzeba rozbudzać albo znajdować gotowe gdzie indziej, np. w starej Europie lub w Azji. Trzeba więc szukać głupich, którzy zechcą się bić, wyniszczać wzajemnie i uruchomią potrzebne w tym celu milionowe armie. Dla siebie zaś — zapewnić monopol najokropniejszych, najbardziej niszczycielskich, czyli „najdoskonalszych" środków technicznych: jako groźbę dla przeciwników i jako zachętę dla „sprzymierzeńców"...

Lecz przekonanie o monopolu, np. broni atomowej rozcieńcza się coraz bardziej w głowach hersztów imperializmu amerykańskiego, a zresztą nawet najpotężniejsze środki techniczne nie są w stanie przynieść rozstrzygnięcia w zapasach, których terenem byłyby całe kontynenty. W ostatecznym rachunku wciąż jeszcze decyduje i będzie decydować masowo użyta żywa siła ludzka, nieodzowna do opanowania terenu — dodajmy, siła ludzka ożywiona duchem heroizmu, przekonaniem, ideą, tymi wszystkimi „ponurymi" motywami wewnętrznymi, które nie bardzo się mieszczą w skomercjalizowanej wyobraźni przeciętnego Amerykanina.

Myślę, że wszystko wyżej powiedziane uprawnia do wniosku, iż klucza wojny i pokoju należy dziś szukać, mimo wszystko, nie w Ameryce, lecz w stanowisku narodów, w postawie mas ludowych całego świata: w Europie, w Azji, w krajach kolonialnych. Myślę, że w pewnym sensie, z punktu widzenia samych podżegaczy wojennych, decydująca rola przypada wielkim narodom zachodnio - europejskim: francuskiemu, włoskiemu, angielskiemu. Otóż jedyny delegat zachodniej Europy na konferencji nowojorskiej, Stapledon, przytoczył w swoim przemówieniu następujące słowa londyńskiego szofera taksówki, który wiózł go na lotnisko:

— Niech pan tam powie w Nowym Jorku, że my tu w Anglii nie mamy żadnej ochoty bić się dla nich z Sowietami.

Jest rzeczą **całkiem pewną**, że to, co ten szofer londyński powiedział Stapledonowi, wyraża stanowisko przygniatającej większości wszystkich narodów zachodnio-europejskich, narodów, których rządy — jak zwykli, mali szalbierze — podpisały niedawno w Waszyngtonie swój tuzin weksli bez pokrycia. A jeśli chodzi o kontynent azjatycki, to rozwój wypadków w Chinach i bezradność wobec nich Stanów Zjednoczonych są dostatecznie wymowne.

Nadciągający wielki kryzys gospodarczy w USA może być ostatecznym sygnałem alarmowym dla szefów obozu wojennego. Ale decyzja faktyczna o wojnie i pokoju leży w rękach ludów Europy i Azji. Nad niepokojem, z jakim one od pewnego czasu słuchają „głosów Ameryki": histerycznej wrzawy imperialistycznych organizatorów zbrodni, zaczyna coraz bardziej górować stanowczość i wola.

Gdyż nasze, europejskie doświadczenie dwóch wojen światowych jest zupełnie inne, niż amerykańskie. Mówi ono o sumie nieszczęść, cierpienia i męki tak wielkiej, że mogłyby na wiele lat zatruć śmiertelnym smutkiem całą ludność Stanów Zjednoczonych. Mówi o zniszczeniach dóbr materialnych i kulturalnych tak wielkich, że nie wymierzą ich najbardziej oszałamiające cyfry amerykańskiej produkcji.

Ale mówi ono jeszcze coś innego. Mówi ono, że:

„Wojna przestała już być przedsięwzięciem, w końcowym rozrachunku opłacalnym dla jej sprawców... Współczesne wojny światowe nie przebiegają i nie kończą się tak, jak sobie to planują ich aranżerowie. Rozstrzygnięcia zapadają w nich przeciw sprawcom i dyrygentom imperialistycznym — na rzecz wzrostu sił ludowych, sił postępu i przebudowy społecznej. Zastanówcie się przez chwilę nad wynikami pierwszej i drugiej wojny światowej, a zobaczycie, że tak jest naprawdę... Jeżeli jednak mimo to my, ludzie walczący o postęp i przebudowę, sprzeciwiamy się wojnie, z uporem bronimy pokoju, to dlatego, że nie chcemy automatyzmu w historii, nie jesteśmy fatalistami, uważamy że trzeba robić wszystko, aby ludzkości oszczędzać krwawych kąpieli. Nie obliczamy zysków, znamy tylko **koszta** wojny i niewymierną w dolarach **wartość** pokoju. Chcemy po prostu, żeby droga do lepszego układu stosunków międzyludzkich nie prowadziła przez stosy trupów i ruiny miast".

Słowa powyższe wyjmuję z przemówienia mojego w nowojorskim Madison Square Garden. Słuchało ich 20 tysięcy amerykańskich przyjaciół pokoju. Ilu ich jest w całych Stanach Zjednoczonych? Może tysiąc, może dwa tysiące razy więcej — nie wiem. I chyba nie o to chodzi, nie to jest decydujące. Ważne, to prawda, bardzo ważne jest to, co czuje dziś i myśli naród amerykański — ważne przede wszystkim dla niego samego, dla jego własnej przyszłości. Ale nie pytajcie o to — tu, w Warszawie — z uczuciem takim, jakby od tej odpowiedzi zależał nasz dzień jutrzejszy. Nie pytajcie: co myślą Amerykanie? bo oni sami nie wiedzą, czy ten świat, który znają, potrwa jeszcze trzy tygodnie... Przy płynności zjawisk i procesów, zachodzących dziś w tym wielkim społeczeństwie, musimy pamiętać, że to wszystko, co mówiłem o nastrojach obywateli USA, może ulegać nie tylko wahaniom, ale zwrotnym zasadniczym zmianom. Im donioślejszy będzie nasz głos, tym lepiej także dla narodu amerykańskiego, tym prędzej okrzepną wewnątrz Stanów Zjednoczonych siły antywojenne.

Powtarzam z najgłębszym przekonaniem: klucz wojny i pokoju, klucz losów całego świata, łącznie z narodem amerykańskim jest dziś w rękach ludów Europy i Azji, w rękach ludów całej wielkiej Ameryki, o której trzeba pamiętać, bo w Ameryce poza Stanami Zjednoczonymi są jeszcze wielkie społeczeństwa innych krajów, które dają dobitny wyraz swojej postawie antywojennej.

Leon Kruczkowski

**) Zob. w poprzednim numerze.*

(Dokończenie w następnym numerze)

JURIJ TYNIANOW

przełożyli: ZIEMOWIT FEDECKI i TADEUSZ MONGIRD

PODPORUCZNIK KIŻE

Autor „Podporucznika Kiże" Jurij Tynianow (1894-1943) zadebiutował jako krytyk literacki, autor prac: „Dostojewski i Gogol" (1921), „Zagadnienie języka poetyckiego" (1924), zbiór artykułów o Puszkinie, Tiutczewie, Niekrasowie, Brjusowie, Błoku i Chlebnikowie — „Archaiści i nowatorzy" (1929) i i. Prace te zdobyły mu duży rozgłos, jakkolwiek niektóre z nich krytykowane były za tendencje formalistyczne. Stopniowo Tynianowa zaczyna coraz bardziej pociągać powieść historyczna. W 1925 roku, po długoletniej pracy w archiwach wychodzi jego powieść „Kuchla", niezwykle wysoko oceniona przez Gorkiego. Tematem jej są losy poety-dekabrysty, przyjaciela Puszkina — Küchelbeckera. W latach 1930-1933 Tynianow napisał szereg krótszych opowiadań, z których na uwagę zasługuje przede wszystkim „Podporucznik Kiże", „Woskowa persona" oraz „Małoletni Wituszyszynikow". Wszystkie powieści Tynianowa łączy w pewnym stopniu ścisłe „umiejscowienie" w czasie — tzn. w końcu XVIII wieku i początku XX, do powstania dekabrystów włącznie. W pracach swych Tynianow korzystał z wszelkiego rodzaju materiałów historycznych, epoki puszkinowskiej. Pozwoliło mu to przystąpić do swego największego dzieła — powieści „Puszkin" (1936-1938), poświęconej dzieciństwu i młodzieńczym latom poety. Powieść ta osiągnęła w Związku Radzieckim wyjątkowe powodzenie. Polski czytelnik zna Tynianowa tylko ze „Śmierci Wazyr Muchtara", książki która ukazała się całkiem niedawno w przekładzie Nadziei Druckiej. W związku z uroczystościami puszkinowskimi „Czytelnik" przystąpił do wydania „Puszkina". W ten sposób zapełniona zostanie jedna z nazbyt licznych wyrw w naszej literaturze przekładowej z rosyjskiego.

I

Imperator Paweł drzemał przy otwartym oknie. W godzinach poobiednich, kiedy pokarm powoli boryka się z ciałem, wszelkiego rodzaju hałasy były zabronione. Cesarz drzemał siedząc w wysokim fotelu, osłonięty z przodu i z boku szklanym parawanem. Pawłowi Pietrowiczowi śnił się zwykły sen poobiedni.

Siedział w Gatczynie w swym strzyżonym ogródku, a okrągły kupidyn w rogu przyglądał mu się, jak spożywał obiad z rodziną. Potem z oddali nadciągnął skrzyp. Nadciągnął monotonnie, podskakując na wybojach. Paweł Pietrowicz ujrzał z daleka trójgraniasty kapelusz, nogi konia w galopie, hołobla dwukółki i kurz. Schował się pod stół, ponieważ trójgraniasty kapelusz był feldjegrem. Pędzono po niego z Petersburga.

— Nous sommes perdus... — krzyknął ochryple spod stołu do żony, żeby schowała się również.

Pod stołem brakło powietrza, skrzyp dosięgał go i tam, dwukółka nacierała nań hołoblami.

Feldjeger zajrzał pod stół, znalazł tam Pawła Pietrowicza i rzekł do niego:

— Najjaśniejszy panie! Najjaśniejsza Pani, matka Waszej Wysokości skonała.

Ledwie jednak Paweł Pietrowicz zaczął wylazić spod stołu, feldjeger wyciął mu szczutka w nos i krzyknął:

— Biada!

Paweł Pietrowicz broniąc się przed nim, machnął ręką i złapał muchę. Siedział tak dłuższy czas nieruchomo, z wytrzeszczonymi oczyma, wpatrzony w okno Pawłowskiego pałacu, dusząc się z nudy i nadmiaru jedzenia. Trzymał w ręku brzęczącą muchę i nasłuchiwał.

Ktoś krzyczał pod oknem „biada".

II

Pisarz wojskowy w kancelarii pułku Preobrażeńskiego został zesłany na Syberyjskiego.

Nowy pisarz, młody jeszcze, niedawno dziecko, siedział przy stole i pisał. Ręka mu drżała, ponieważ nie mógł zdążyć na czas.

Musiał przepisać rozkaz dzienny przed szóstą rano, aby dyżurny adiutant mógł go w porę odwieźć do pałacu i przekazać adiutantowi Jego Wysokości, który tego rodzaju rozkazy wręczał cesarzowi o 9-tej. Opóźnienie było

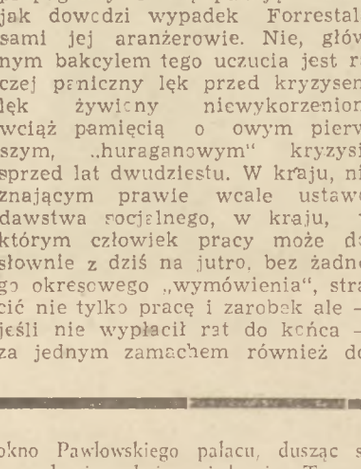

Reprodukcja rysunku I. Kibrika z wydania radzieckiego 1930 r.

przestępstwem. Pisarz wstał wcześniej niż zwykle, lecz omylił się i teraz przepisywał powtórnie listę. W pierwszej liście popełnił dwa błędy: porucznika Siniuchajewa wpisał do rubryki zmarłych, ponieważ Siniuchajew następował od razu po zmarłym majorze Sokołowie — i dopuścił się niedorzecznego przekręcenia: zamiast „...że odkomenderowani zostają kapitanowie Kuźmin, Wietrow oraz Mielnikow, *podporucznik i że* chorążowie Stiwen, Rybin i Azanczejew wyznaczeni są..." napisał: „...że odkomenderowani zostają kapitanowie Kuźmin, Wietrow oraz Mielnikow, *podporucznik kiże*, chorążowie Stiwen, Rybin i Azanczejew wyznaczeni są..." *)

W chwili, gdy pisał słowo „*podporucznik*", wszedł oficer i pisarz wyprężył się przed nim na baczność, urywając na „k", a potem, kiedy zabrał się znów do pisania, pomylił się i napisał „*podporucznik kiże*".

Pisarz wiedział, że jeśli rozkaz nie będzie gotów na szóstą, adiutant krzyknie „wziąć go" i wezmą go na pewno. Dlatego ręka mu drżała, pisał coraz wolniej i naraz zrobił na rozkazie dużego, pięknego jak fontanna, kleksa.

Zostało zaledwie dziesięć minut.

Odwrócił się, spojrzał na zegar, jak na żywą istotę, a następnie palcami, które jak gdyby oddzieliły się od ciała i poruszały samodzielnie, zaczął wertować papiery, w poszukiwaniu czystego arkusza, mimo że na stole nie było w ogóle czystych arkuszy — leżały one w wielkim porządku w szafie, ułożone starannie na półce.

Grzebiąc się rozpaczliwie w papierach, raczej, żeby być w porządku wobec siebie, oślupiał po raz wtóry.

Inny papier, nie mniej ważny, był również przepisany nieprawidłowo.

W myśl cesarskiego cyrkularza nr 940 o nieużywaniu niewłaściwych słów w raportach, nie należało używać słowa „przegląd", lecz *lustracja*, nie „wykonać", lecz *wypełnić*, nie pisać „straż", lecz *warta* i w żadnym wypadku nie pisać słowa „oddział", lecz *detaszment*.

Cyrkularz zawierał poza tym uzupełnienie dla spraw cywilnych, w myśl którego nie należało pisać „stopień", lecz klasa", nie „społeczeństwo", lecz „zgromadzenie" i zamiast „obywatel", używać słów „kupiec", lub „mieszczanin".

**) W tym miejscu tłumacze dążąc do zachowania nazwiska „Kiże" pozwolili sobie na pewne odstępstwo od oryginału.*

Uzupełnienie było jednak napisane małymi literami pod cyrkularzem nr 940, wiszącym tuż obok na ścianie przed oczyma pisarza. Uzupełnienia pisarz nie czytał, natomiast pamiętał doskonale

Reprodukcja rysunku I. Kibrika z wydania radzieckiego 1930 r.

przepisy o słowach „przegląd" i innych, które wykuł od razu pierwszego dnia.

Raport zaś dla barona Arakczejewa, przygotowany do podpisu dowódcy pułku brzmiał, jak następuje:

„Po uczynionym z polecenia Jego Ekscelencji *przeglądzie oddziałów straży*, do pełnienia służb podmiejskiej i wyjazdowej przy St. Petersburgu specjalnie przeznaczonych, mam zaszczyt donieść, że wszystko powyższe zostało *wykonane*".

Nie koniec na tym.

Pierwsza linijka niedawno przepisanego przezeń raportu wyglądała następująco:

Ekscelencjo, Panie Generale.

Tymczasem nawet małe dzieci wiedziały, że napisanie tytułu w jednym wierszu oznacza rozkaz, a w raportach osoby podwładnej do takiej zwłaszcza osoby, jak baron Arakczejew, można było zwracać się wyłącznie w dwóch wierszach:

Ekscelencjo,

Panie Generale

co oznaczało subordynację i uprzejmość.

Jeśli z powodu *przeglądu* et caetera można mu było uczynić zarzut, że nie dostrzegł błędu i we właściwym czasie nie zwrócił uwagi na cyrkularz, to z *Ekscelencją* poplątał podczas przepisywania wyłącznie z własnej winy.

Nie zdając już sobie sprawy z tego, co robi, pisarz zabrał się do poprawiania raportu. Przepisując go, zapomniał na śmierć o rozkazie, który był daleko pilniejszy.

Gdy ordynans adiutanta przybył po rozkaz, pisarz spojrzał najpierw na zegar, potem na ordynansa i nagle podał mu arkusz z porucznikiem Siniuchajewem w rubryce zmarłych.

Następnie usiadł i, trzęsąc się ze strachu, pisał: *Ekscelencje, lustracje, warty.*

III

Punktualnie o 9-tej w pałacu rozległ się dzwonek, cesarz pociągnął gwałtownie za szarfę. Adiutant Jego Wysokości punktualnie o 9-tej wszedł jak zwykle do Pawła Pietrowicza z raportem. Paweł Pietrowicz siedział we wczorajszej pozie przy oknie, osłonięty szklanym parawanem.

Nie spał jednak, ani nawet nie drzemał, a twarz jego miała zupełnie inny wyraz.

Adiutant, jak wszyscy zresztą w pałacu, wiedział, że cesarz jest rozgniewany. Wiedział również, że gniew szuka powodów i im więcej ich znajduje, z tym większą siłą wybucha. Raport przeto w żadnym wypadku nie mógł być odłożony.

Adiutant, prężąc się przed szklanym parawanem i plecami cesarza, zameldował się.

przełożył JAN BRZECHWA

K A L E W A L A

Wejnemejnen buduje łódź

„Kalewala" — to ludowy, karelo-fiński epos, złożony z pieśni ludowych, które zebrał niestrudzony ich poszukiwacz — Eljasz Lönnrot, głównie na ziemiach wschodniej Karelii.

Całość eposu, składająca się z 22795 wierszy, podzielonych na 50 run, czyli pieśni, skomponowana i opracowana przez Lönnrota, ukazała się w roku 1849, a więc w roku bieżącym przypada setna rocznica jej istnienia, uroczyście obchodzona przez świat cywilizowany.

W ten sposób odtworzony został wielki, demokratyczny w swych założeniach, epos ludowy o dziejach potomków legendarnego Kalewa.

„Najlepszym dowodem potęgi twórczości zbiorowej — pisał Gorki — jest fakt, że na przestrzeni wieków twórczość nie dała światu nic, co można byłoby porównać z „Iliadą", czy też „Kalewalą".

Na treść eposu składają się wyobrażenia ludu karelo-fińskiego o potęgach, kierujących istnieniem i losami człowieka, o jego nieustraszonych, nieustających zmaganiach z nieprzychylną i surową naturą północy.

Cała „Kalewala" (Kalevala — ziemia, kraina Kaleva), to niemilknąca pochwała ludzkiej pracy.

Czołowym bohaterem eposu jest Wejnemejnen (Väinämöinen) — pieśniarz, czarownik i zaklinacz, którego główna moc to czarodziejskie słowo, zaklęcie magiczne. Moc ta staje się niedościgniona, odkąd Wejnemejnen dokonywa wynalazku instrumentu muzycznego, będącego rodzajem cytry i noszącego nazwę „kántele".

Pohiola, inaczej Sariola, w przeciwieństwie do Kalewali, jest ponurą i smutną krainą północnego chłodu, dokąd bohaterowie eposu zdążają raz jako narzeczeni, raz jako wojownicy, ażeby tak, czy inaczej ujarzmić wreszcie potęgi złowrogiego klimatu.

Wejnele (Väinölä) — to miejscowość w Kalewali, siedziba Wejnemejnena.

Przełożony fragment stanowi część runy ósmej, która opiewa starania Wejnemejnena o rękę Pohiolanki.

W przekładzie, dla udogodnienia lektury, imiona własne podaję w transkrypcji polskiej.

Najpiękniejsza z dziew Pohioli,
ta co świat urodą wieńczy,
na powietrznym siedzi łuku,
na południowej siedzi tęczy.
Przyodziana w czystą suknię,
obleczona w białe stroje,
czarnej ziemi, morskim falom
ofiaruje wdzięki swoje:
tka ze złota lekką odzież,
zdobi srebrem nitkę cienką,
srebrnie dźwięczy złota szpulka,
przez osnowę mknie czółenko.
W dłoniach sporzy się robota
tej Pohioli ślicznej pannie,
która srebrną cienką nitką
złotą odzież tka starannie.

Stary, wierny Wejnemejnen
jedzie szumnie środkiem drogi
z ziem ponurej Sarioli,
z ziem Pohioli tej złowrogiej.
Niezbyt wiele się oddalił —
wtem czółenko nad nim brzęczy,
podniósł głowę, a tu w górze
panna siedzi wprost na tęczy.
Stary, wierny Wejnemejnen
konia zwinnie pohamował,
sięgnął lejce i powiada,
i odzywa się w te słowa:
— Zejdź dziewczyno do mnie na dół,
opuść swój przewiewny obłok,
siądź tu przy mnie, w moich saniach,
w moich saniach usiądź obok.

Odpowiada mu dziewczyna:
— Na cóż sanie mi się zdadzą,
i co będę w nich robiła
przy twym boku, pod twą władzą?

Stary, wierny Wejnemejnen
tak po chwili się odzywa:
— Po to masz do moich sanek
zejść, dziewczyno urodziwa,
żeby siedzieć w moim oknie,
żeby warzyć piwo młode,
żeby śpiewać dla mnie pieśni,
piec mi białe chleby z miodem,
i zabawiać się na ławie
jak się inni zabawiali
pośród złotych pól Wejnele,
na równinach Kalewali.

Odpowiada mu dziewczyna:
— Na kwiecistej byłam łące,
gdy się właśnie na tę łąkę
kładło słońce zachodzące.
Nagle słyszę — ptak mi śpiewa,
drozd mi śpiewa w cieniu drzewa
o tym, co się pannie marzy,
czego panna się spodziewa.
Więc spytałam z ciekawości:
— Powiedz mi, ptaszyno mała,
powiedz swoją ptasią mową,
tym dokładnie zrozumiała,
komu w życiu jest przyjemniej,
komu czas weselej płynie,
czy kobiecie obok męża,
czy też pannie i dziewczynie?
Ptak mi na to odpowiada:
— Ciepłe dni bywają w lecie,
ale pannie znacznie cieplej,
znacznie cieplej jest na świecie;
chłodne w zimie jest żelazo,
twardy kruszec mrozem wionie,
ale jeszcze chłodniej w życiu
jest przy mężu biednej żonie.
W domu panna chodzi wolna,
zawsze w tańcu, zawsze w ruchu,
a przy mężu każda żona
jest jak suka na łańcuchu.
Do nędznego niewolnika
nieraz ktoś przemówi czulej,
tylko żony nikt nie pieści,
tylko żony nikt nie tuli.

Stary, wierny Wejnemejnen
takie na to rzecze słowa:
— Puste są te śpiewy ptasie,
głupia jest ta ptasia mowa:
panna zawsze jest jak dziecko,
choćby nawet była gładka,
poważanie zaś zdobywa
tylko żona i mężatka.
Usiądź przy mnie w moich saniach,
zejdź tu prędzej, zejdź tu zwinniej,
jam wszak mąż nie bylejaki,
i nie gorszy niźli inni.

Lecz dziewczyna mówi mądrze:
— Będziesz dla mnie mężem godnym,
będziesz dla mnie bohaterem
i zwycięzcą niezawodnym,
jeśli nożem nieostrzonym
włos rozetniesz mi na dwoje,
jeśli jajko zwiążesz w supeł
tak, by przy tym oczy moje
tego supła nie widziały.
Skoro spełnisz to zadanie,
zejdę z mojej wysokości
i usiądę w twoje sanie.

Stary, wierny Wejnemejnen
tępym nożem włos rozcina,
wiąże jajo w taki supeł,
że nie widzi go dziewczyna,
a gdy już wykonał szybko
to, co było mu zadane,
znów zaprasza ją uprzejmie,
znów zaprasza ją do sanek.

Lecz dziewczyna mówi mądrze:
— Wtedy będę twoją całkiem,
gdy z kamienia zedrzesz łyko
zdatne dla mnie na kobiałkę,
gdy mi pręt wystrugasz z lodu
tak, ażeby przy tym jednak
ani jeden pyłek nie spadł
i kruszyna ani jedna.

Stary, wierny Wejnemejnen
zręcznie kamień ujął w rękę
i z kamienia w okamgnienie
poutaczał pasma cienkie.
Z bryły lodu pręt wystrugał,
pręt wystrugał, przy czym jednak
ani jeden pyłek nie spadł
i kruszyna ani jedna.
Znów dziewczynę do swych sanek
i zaprasza i zachęca:
— Już spełnione twe życzenie,
dumna wola twa dziewczęca!

Lecz dziewczyna mówi mądrze:
— Temu serce dam i posag,
kto z wrzeciona złamanego
dla mnie nową łódź wyciosa,
potem ją na wodę zepchnie,
na burzliwe te przestrzenie,
nie trącając jej kolanem,
nie ruszając jej ramieniem.

Rzecze stary Wejnemejnen:
— Pod sklepieniem tego nieba
jeden tylko ja potrafię
łódź wyciosać tak jak trzeba!
Wziął wrzeciona szczątki kruche,
przyniósł szpulkę połamaną,
łódź majstruje, łódź buduje
jakiej dotąd nie widziano;
tysiąc desek zgodnie łączy,
tysiąc desek zbija razem
na tej górze wypełnionej
miedzią, stalą i żelazem.

Paweł Pietrowicz nie odwrócił się nawet. Oddychał rzadko i z trudem.

W ciągu całego wczorajszego dnia nie zdołano wykryć, kto krzyczał pod jego oknem „biada" i z tej racji cesarz dwukrotnie budził się w nocy z uczuciem niepokoju.

„Biada" był to okrzyk niedorzeczny i początkowo Pawła Pietrowicza ogarnął gniew niewielki, jak to bywa z każdym, kto miał zły sen i komu przeszkodzono obejrzeć go do końca. Wiadomo bowiem, że pomyślny koniec snu oznacza mimo wszystko pomyślność. Ciekawiło go także, kto i w jakim celu krzyczał „biada" pod oknem. Kiedy jednak w całym pałacu, miotającym się w przerażeniu nie odnaleziono winowajcy, gniew urósł do wielkiego gniewu. Sprawa przedstawiała się tak: w samym pałacu, w godzinach poobiednich, jakiś człowiek mógł wywołać zamieszanie i ujść bezkarnie. Ponadto nikt nie potrafił wyjaśnić, w jakim celu krzyczano „biada". Może była to przestroga skrzywdzonego złoczyńcy, a może też w trzykrotnie przeszukanych krzakach uduszono kogoś, wpychając mu do gardła knebel. Winowajca zapadł się pod ziemię. Należało... Cóż jednak należało czynić, jeśli nie znaleziono owego człowieka.

Należało wzmocnić warty. I to nie tylko w pałacu.

Paweł Pietrowicz, nie odwracając się do adiutanta, patrzył na czworokątne zielone krzaki, takie same niemal, jak w Trianon. Krzaki były strzyżone. A jednak nie wiadomo było, kto się w nich ukrywał.

Nie patrząc na adiutanta, cesarz wyciągnął do tyłu prawą rękę. Adiutant wiedział, co to znaczy: w okresach wielkiego gniewu cesarz nie odwracał się. Adiutant zręcznym ruchem wsunął mu do ręki rozkaz dzienny do Preobrażeńskiego pułku gwardii. Paweł Pietrowicz zaczął go uważnie czytać. Po chwili ręka wyciągnęła się znowu i adiutant nie mniej zręcznie wziął pióro z podręcznego stolika, zanurzył je w kałamarzu, strząsnął i delikatnie włożył do wyciągniętej ręki, plamiąc się przy tym atramentem. Wszystko to odbyło się w mgnieniu oka. Niebawem podpisany arkusz poleciał w jego kierunku. Adiutant podawał w ten sposób arkusze, które podpisane, lub po prostu przeczytane powracały doń podobnie jak pierwszy. Adiutant zaczął się już przyzwyczajać do tej czynności i miał nadzieję, że jakoś mu się upiecze, gdy nagle cesarz zerwał się z wysokiego fotela.

Drobnym kroczkiem podbiegł do adiutanta. Twarz miał czerwoną, oczy mu pociemniały.

Zatrzymał się tuż przed adiutantem i powąchał go. Czynił tak zazwyczaj, gdy bywał podejrzliwy. Następnie chwycił silnie adiutanta dwoma palcami za rękaw i uszczypnął.

Adiutant stał na baczność, trzymając w ręce rozkazy.

— Służby nie znasz, mój panie — krzyknął chrapliwym głosem Paweł Pietrowicz.

Uszczypnął go raz jeszcze.

— Potiomkinowskie porządki! Już ja was oduczę! Ować! (*odmaszerować*).

Adiutant tylem wycofał się z pokoju.

Gdy tylko drzwi bezszelestnie się zamknęły, Paweł Pietrowicz zerwał szybko chustkę z szyi i cichutko zaczął szarpać koszulę na piersiach. Usta mu się rozszerzyły, wargi zadrżały.

Rozpoczynał się w i e l k i g n i e w.

IV

Podpisany przez cesarza rozkaz dzienny do Preobrażeńskiego pułku gwardii, został przezeń poprawiony gniewną ręką. Słowa: „...podporucznik kiże, chorążowie Stiwen, Rybin i Azanczejew wyznaczeni są..." cesarz poprawił: w słowie *kiże*, które rozpoczynało się z małej litery wstawił olbrzymie K, kilka innych liter przekreślił i u góry dopisał: *Podporucznika Kiże wyznaczyć do pełnienia warty*". Reszta nie wzbudziła zastrzeżeń.

Rozkaz został przekazany.

Gdy pułkownik otrzymał rozkaz długo zastanawiał się, kto zacz ów podporucznik o dziwnym nazwisku Kiże. Wziął niezwłocznie listę wszystkich oficerów pułku Preobrażeńskiego, jednakże oficer ten w niej nie figurował. Nie było go także na liście szeregowych. Bóg raczy wiedzieć, co to mogło znaczyć. Jedyną osobą na świecie, która znała całą prawdę, był pisarz, nikt go jednak nie pytał, a on nikomu o niczym nie mówił. Niemniej rozkaz cesarza musiał być wykonany. A przecież nie mógł być wykonany, ponieważ w pułku nie było żadnego podporucznika Kiże.

Pułkownik pomyślał, czy nie warto by zwrócić się do barona Arakczejewa, ale w tej samej chwili machnął ręką. Baron Arakczejew przebywał w Gatczynie, a poza tym nie wiadomo było, czy odniesie to jakikolwiek skutek.

A że zawsze w nieszczęściu zwykło się zwracać o pomoc do rodziny, pułkownik niezwłocznie przypomniał sobie o pokrewieństwie z adiutantem Jego Wysokości Sabłukowem i pogalopował do Pawłowskoje.

W Pawłowskoje panowało wielkie zamieszanie i adiutant zrazu w ogóle nie chciał przyjąć pułkownika.

Wysłuchał go wreszcie niechętnie i już miał mu powiedzieć, żeby poszedł sobie do diabła, bo i tak dość innych spraw na głowie, gdy wtem zmarszczył brwi, zmierzył pułkownika wzrokiem i wzrok ten nagle się zmienił: błysnęła w nim nieprzeparta chęć ryzyka.

Potem wycedził przez zęby:

— Cesarza nie zawiadamiać, podporucznika Kiże uważać za żyjącego. Wyznaczyć go do pełnienia warty.

Nie patrząc na stropionego pułkownika, rzucił go na pastwę losu, obciągnął mundur i wyszedł.

V

Porucznik Siniuchajew był niepozornym oficerem. Ojciec jego pełnił obowiązki lekarza nadwornego barona Arakczejewa, który w nagrodę za pigułki, podtrzymujące go na zdrowiu cichaczem wkręcił lekarskiego syna do pułku. Baronowi przypadła do gustu jego twarz — otwarta i niezbyt mądra. W pułku młody Siniuchajew nie utrzymywał z nikim zażyłych stosunków, ale i nie stronił od kolegów. Był małomówny, lubił tytoń, nie uganiał się za spódniczkami i, choć nie było to uważane za zajęcie godne dzielnego oficera, z przyjemnością grywał na oboju.

Rynsztunek jego lśnił zawsze czystością.

Podczas odczytywania rozkazu dziennego Siniuchajew stał jak zwykle, wyprężony na baczność i o niczym nie myślał.

Nagle usłyszał swe nazwisko i uszy mu drgnęły, jak to bywa z zamyślonymi końmi, kiedy woźnica nieoczekiwanie zdzieli je batem.

„Porucznika Siniuchajewa jako zmarłego na febrę skreślić z listy pułkowej".

W tym miejscu pułkownik, który odczytywał rozkaz, mimo woli spojrzał w stronę, gdzie zwykle stał Siniuchajew, — i ręka jego opadła wraz z trzymanym arkuszem.

Siniuchajew znajdował się na swym miejscu. Po chwili pułkownik znów zaczął odczytywać rozkaz — już nie tak wyraźnie co prawda jak przedtem — przeczytał o Stiwenie, Azanczejewie i Kiże i doszedł do końca. Zaczęła się zmiana warty. Siniuchajew powinien był maszerować razem z całym oddziałem, stał jednak w dalszym ciągu nieruchomo. Zwykł był odnosić się do słów rozkazu, jako do słów szczególnych, nie mających nic wspólnego z mową ludzką. Posiadały one własne życie i władzę, a nie treść czy znaczenie. Sprawa nie polegała na tym, czy rozkaz został, czy nie został wykonany. Rozkaz zmieniał w jakiś sposób pułki, ulice i ludzi, nawet gdy go nie wykonywano.

Gdy porucznik Siniuchajew usłyszał o swej śmierci, pozostał początkowo na miejscu, jak człowiek, który nie zrozumiał, o co chodzi. Starał się nadążyć za słowami. Potem przestał się łudzić — czytano o nim. Wreszcie, gdy kolumna jego ruszyła, zaczął wątpić, czy żyje.

Czuł władzę w ręce leżącej na gardzie, czuł ucisk nazbyt mocno zaciągniętego pasa i ciężar harapu wysmarowanego dziś z rana smalcem — wszystko wskazywałoby na to, że jest żywy. Równocześnie jednak zdawał sobie sprawę z tego, że coś tu nie jest w porządku i że coś popsuło się raz na zawsze. Nie przyszło mu wcale na myśl, że w rozkazie jest błąd. Przeciwnie — wydało mu się, że tylko dzięki jakiejś omyłce czy nieporozumieniu pozostał przy życiu. Po prostu z powodu swego niedbalstwa przeoczył coś i nikogo o tym nie zawiadomił.

W każdym bądź razie plątał wszystkie szyki, tkwiąc jak kołek na placu.

Gdy tylko skończyła się zmiana warty, pułkownik rzucił się do porucznika. Twarz miał purpurową. Całe szczęście, że z powodu upałów przy zmianie warty, nie był obecny cesarz, który odpoczywał właśnie w Pawłowskoje. Pułkownik chciał wrzasnąć: „do paki", ale dla wyładowania gniewu potrzebny był dźwięk bardziej donośny i dlatego zamierzał już przejść na „rr": „arresztować", gdy nagle zamknął usta, jak gdyby niechcący połknął muchę. Stał tak przed porucznikiem Siniuchajewem ze dwie minuty.

Potem odwrócił się jak od zadżumionego i poszedł swoją drogą.

Przypomniał sobie, że porucznik Siniuchajew został zwolniony ze służby jako zmarły, pohamował się więc, gdyż nie wiedział, jak należy z takim rozmawiać.

VI

Paweł Pietrowicz chodził po pokoju, przystając niekiedy i nasłuchując.

Od czasu, gdy cesarz w zakurzonych butach i podróżnym płaszczu przeszedł, dźwięcząc ostrogami, przez salę, w której rzęziła jeszcze jego matka, i trzasnął drzwiami, zauważono, że wielki gniew przechodził w gniew ogromny, a ogromny gniew kończył się po dwóch dniach strachem lub rozczuleniem.

Chimery na schodach w Pawłowskoje rzeźbił dziki Brenna, natomiast plafony i ściany pałacu były dziełem jakobina Kamerona, miłośnika barw delikatnych, które zamierają w oczach. Z jednej strony — wyszczerzone paszcze lwów, prężących się do skoku i przypominających ludzi, z drugiej zaś — wytworne uczucia.

Poza tym w sali pałacowej wisiały dwie latarnie, podarunek niedawno zgilotynowanego Ludwika XVI. Podarunek ten otrzymał Paweł Pietrowicz we Francji, kiedy jeszcze podróżował jako hrabia Siewiernyj.

Latarnie były misternej roboty, a ściany miały właściwość łagodzenia światła.

Mimo to Paweł Pietrowicz nigdy nie pozwalał ich zapalać.

Na stole z jaspisu stał zegar, który również był podarunkiem — od Marii Antoniny. Mała strzałka przedstawiała złotego Saturna z długą kosą, duża — amorka ze strzałą.

Gdy zegar wybijał dwunastą, Saturn przysłaniał kosą strzałę amorka. Oznaczało to, że czas zwycięża miłość.

W każdym bądź razie zegara nie nakręcano.

Tak więc w ogrodzie był Brenna, na ścianach Kameron, a nad głową, w pustce pod sufitem, kołysała się latarnia Ludwika XVI.

W chwilach wielkiego gniewu Paweł Pietrowicz upodabniał się nawet zewnętrznie do jednego z lwów Brenny.

Wówczas, jak grom z jasnego nieba, na całe pułki spadały kije, ciemną nocą przy świetle pochodni odrąbywano komuś głowę nad Donem, maszerowali pieszo na Syberię pierwsi z brzegu żołnierze, pisarze wojskowi, porucznicy, generałowie i generał-gubernatorzy.

Jurij Tynianow

(Dalszy ciąg w następnym numerze)

TEATR · TEATR · TEATR · TEATR · TEATR

ARTUR MARYA SWINARSKI

„Swantewit" po raz drugi

Opera Śląska, „Swantewit", balet w trzech aktach *Piotra Perkowskiego*. Libretto: *Tadeusz Żakiej*. Choreografia: *Stanisław Miszczyk*. Scenografia: *Stanisław Jarocki*. Kapelmistrz: *Tadeusz Wilczak*.

Spośród polskich choreografów jest *Stanisław Miszczyk* najbardziej uparty.

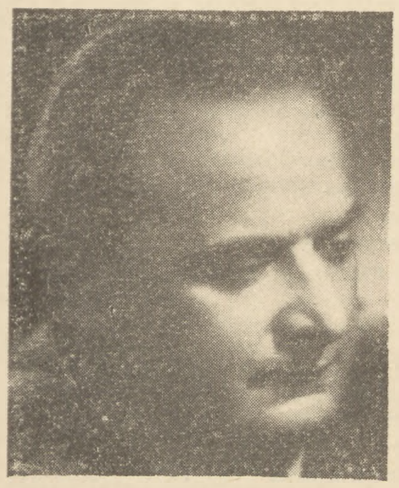

Piotr Perkowski

Nie powtarza nigdy cudzych pomysłów, nawet najtrafniejszych, nawet takich, które powtórzyć by należało, bo stały się już cząstką tradycji naszego baletu. Tak było w „Panu Twardowskim" Ludomira Różyckiego, utworze bardzo trudnym, bo sąsiaduje w nim groteska z tragicznym polonezem, czardasz z krakowiakiem, taniec kozacki ze wschodnim tańcem wśród mieczów; sąsiaduje czysty taniec z pantominą; sąsiaduje fabuła realna z fantastyką legendy. Bogate i różnorodne dzieło może w rękach przeciętnego choreografa przeistoczyć się w wiązankę poszczególnych numerów, po prostu w „divertissement" baletowe. Pierwszy choreograf „Pana Twardowskiego" (prapremiera odbyła sie 6 maja 1921 r. w warszawskim Teatrze Wielkim), — *Zajlich* wie nie dostrzeżono. Dzięki temu zyskał na humorze walc groteskowy w pierwszym akcie i podsunął choreografowi doskonały pomysł: w pierwszej części tego walca (*a-dur*) upiorki leśne topią pijanego chłopa, niosącego z nabożeństwem kwiat... pewnie mu się zdaje, że to znaleziony w nocy Kupały kwiat paproci, główny rekwizyt „Swantewita". Walc zostaje przerwany „scherzandem", podczas którego wbiega rozbawiona młodzież wiejska i spostrzega tonącego chłopa. Wraca motyw walca, tym razem w tonacji *h-dur*, i pod jego rytm chłopcy wyciągają z moczarów tonącego. Dzięki wyrazistej rytmice można było muzykę „Swantewita" jasno i zrozumiale przetłumaczyć na taniec. Kapliński dał, pełen inwencji i finezji, balet dla smakoszów; Miszczyk stworzył balet popularny. (Jedno zażalenie: w orkiestrze brak przewidzianej przez kompozytora h a r f y, którą musi zastępować fortepian; instrument ten jest bardzo nieszczęśliwy w partiach pisanych na harfę i fortepian, bo wtedy pracuje za siebie i za harfę...)

O. Glinkówna i K. Śrem

*

Rolę Dziwożony odegrała i odtańczyła *Olga Glinkówna*. Szczególna pochwała należy się jej za walca *h-moll* w pierwszym akcie. „Nokturn" na początku aktu trzeciego odtworzyła z dużą ekspresją. Pamiętamy tę scenę w interpretacji Barbary Bittnerówny: jej Dziwożona w elegijnym monologu, a raczej dialogu rąk i ramion, od pasa w dół nieruchoma, wyraża swą tęsknotę za Wschodem, z którego widocznie przybiegła do krainy Słowian; ta nagła egzotyka w słowiańskiej fabule baletu była koncepcją oryginalną i odważną. Glinkówna tańczy całym ciałem; szuka utraconego kochanka, wielkimi *pas* wkomponowując się w przestrzeń i z gestami pełnymi tragizmu. Tak odmiennie potraktowali tę scenę dwaj choreografowie i jej dwie wykonawczynie.

Partię Pięknego Chłopca tańczy *Witold Borkowski*, artysta wyposażony w wyjątkową siłę fizyczną, która pozwoliła mu w „Panu Twardowskim" przetańczyć przez osiem odsłon z wciąż rosnącym ferworem, aż po finałowy, furiacki taniec z szablą. W „Swantewicie", gdzie przeważają tańce zespołowe, pozostało mu nie tak wielkie pole do popisu, ale uprawiał to pole pracowicie i czysto. Miał wdzięk, liryzm i humor, szczególnie w *pas de deux*, odtańczonym wespół z doskonałą *Barbarą Karczmarewiczówną*. W tym tańcu połączył choreograf elementy klasyczne i ludowe w sposób nader figlarny.

Ma balet poznański swojego Czecha (*Bogusława Stanczaka*), ostatnio zafundował sobie także balet śląski Czecha — *Karola Śrema*, nabytek bardzo pożyteczny. Śrem ukazuje się w „Swantewicie" aż w trzech postaciach; jako leśny bożek w akcie pierwszym świetnie sekunduje Glinkównie.

Cały zespół: wiedźmy, chochliki, wichry, strzygi, błędne ogniki, nietoperze, wiewiórki, kozły, zające, żaby, ślimaki oraz jeż, jako też młodzież słowiańska — wszyscy bez wyjątku stańczeni znakomicie.

Dekoracje i świetlne efekty trafne w swej prostocie. Kostiumy piękne... tylko

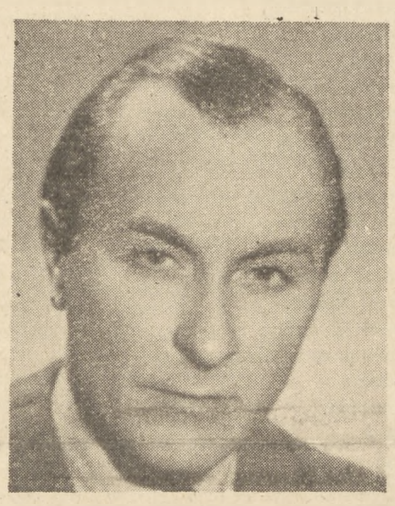

Stanisław Miszczyk

kilku słowiańskich kawalerów, swoimi strojami jak gdyby z „Aidy", wnosi fałszywy akcent do tego udalego widowiska.

Artur Marya Swinarski

B. Karczmarewicz i W. Borkowski

wybrnął z wszystkich trudności jak najszczęśliwiej i, zdawało się, w jedyny możliwy sposób. Tymczasem Miszczyk, wznawiając w kwietniu ubiegłego roku „Pana Twardowskiego" w Operze Śląskiej, uparł się i dał inscenizację całkowicie nową. Pięćset przedstawień baletu Zajdlicha w Warszawie stworzyło „Panu Twardowskiemu" tradycję, ale Miszczyk jej nie uszanował. A ponieważ Miszczyk prócz szlachetnego uporu ma fantazję, lotność pomysłów i dużą kulturę, od premiery jego „Pana Twardowskiego" zacznie się pewnie datować nowa tradycja tego baletu, aż zjawi się po latach drugi Miszczyk i ją zburzy.

Ale że „Swantewit" *Piotra Perkowskiego* inny był w Operze Śląskiej niż w Operze Poznańskiej, to już nie tylko efekt uporu Miszczyka. I nie tylko sprawa nowego libretta *Tadeusza Żakiego*. To przede wszystkim zasługa; chciałoby się napisać: n o w e j muzyki, a w istocie nowego dyrygenta, *Tadeusza Wilczaka*. W artykule „Rewolucjonista z musu" („Odrodzenie", nr. 199) pisałem, że muzykę Perkowskiego trudno odtańczyć, tego zdania byli zresztą bodajże wszyscy recenzenci, którzy omawiali „Swantewita" w układzie Kaplińskiego. A teraz nagle okazało się, że przeciwnie: Perkowski stworzył muzykę wybitnie taneczną, tylko że nie zrozumiała jej orkiestra Opery Poznańskiej i nawet energiczna batuta Zygmunta Latoszewskiego była wobec tej orkiestry bezradna. W takich warunkach musiał Kapliński, który na dobitek dysponował zespołem niezbyt mocnym, uciekać się do namiastki tańca, zresztą pomysłowej i bogatej.

Już od pierwszych taktów uwertury do „Swantewita" odnosiło się wrażenie, że to muzyka nie ta sama. Orkiestra Opery Śląskiej potrafiła wyłuskać rytmikę utworu. Dzięki temu rozkwitł w całej pełni pierwszy walc (*h-mol*), którego w poznańskiej interpretacji pra-

KRONIKA TEATRALNA

Teatr „Wybrzeże" wystawił niedawno „KOBIETĘ WE MGLE" Michała Rusinka z Białobrzeską, Petriówną i Zarzyckim w rolach głównych. Reżyser Iwo Gall (równocześnie scenograf sztuki) wydobył z utworu te walory, których zbyt melodramatyczne przedstawienie warszawskie wydobyć nie zdołało; szczególnie akt trzeci robi silne wrażenie. — Na zdjęciu scena zbiorowa z pierwszego aktu.

IRENA EICHLERÓWNA, po powrocie do kraju, wystąpiła wpierw w Łodzi, w roli tytułowej sztuki Maxwella Andersona „Joanna z Lotaryngii" (zdjęcie na lewo). Obecnie gra w Warszawie, gdzie zdobyła ogromny sukces jako Maria w „Lekkomyślnej siostrze" Włodzimierza Perzyńskiego (zdjęcie na prawo).

FILM · kino · FILM · kino

Film oświatowy

Szkoła i świetlica otrzymała nowy środek nauczania. Książka, mapa i tablica zostały wsparte przez ekran — film oświatowy wkracza do szkoły na wsi, zdobywa świetlice robotnicze, domy kultury, staje się poważnym środkiem nauczania i wychowania. Bywa on często najlepszą pomocą oświatowca i nauczyciela. Dzięki swym możliwościom technicznym — może np. ukazać dokładnie na zwolnionych zdjęciach proces lotu ptaka — i właśnie dlatego, że pokazuje a nie opowiada, jest jako pomoc w nauczaniu często jedynym i najlepszym środkiem.

Produkujemy w Polsce coraz więcej i coraz lepsze filmy oświatowe. Wiele z nich za granicą uzyskało międzynarodowe sukcesy. Na festivalu w Cannes w dziale filmów oświatowych nasza „Wieliczka" otrzymała pierwszą nagrodę, wyróżniony został film „Wrotki mcholubne"; również „Wykluwanie się piskląt" i „Ptasia wyspa" realizacji filmowca-ornitologa W. Puchalskiego odniosły międzynarodowy sukces w Anglii i Francji.

Film oświatowy „Wieliczka"

Dekretem KRN powołany do życia w końcu 1945 roku Instytut Filmowy, przekształcony dziś na Dział Filmów Oświatowych przy P.P. „Film Polski" ma za zadanie szerzyć kulturę i oświatę przy pomocy filmu.

Dział Filmów Oświatowych posiada obecnie pięć ośrodków wytwórczych, które realizują filmy naukowo-badawcze, szkolne, oświatowe, instrukcyjne i zawodowe.

W Łodzi produkuje się filmy instrukcyjne dla przemysłu; odbywa się tu także adaptacja zagranicznych materiałów filmowych.

Sprawą naukowego opracowania zagadnienia organizacji pracy, jej wydajności i zracjonalizowania zajmują się profesorowie wydziału włókienniczego politechniki łódzkiej, którzy współpracują w tej dziedzinie z filmem. W Łodzi otwarto również niedawno ośrodek filmu biologicznego. Ze względu na to, że Uniwersytet Łódzki skupia szereg wybitnych profesorów z dziedziny biologii, że istnieje tu Instytut im. Nenckich, gdzie kontynuuje się badania Pawłowa nad systemem nerwowym, ośrodek ten będzie stanowił cenną bazę dla prac badawczych łódzkich uczonych.

Gabinety filmowe przy uniwersytetach lub przy poszczególnych katedrach mają wielkie znaczenie dla pracy naukowo-twórczej, ale wszędzie jeszcze odczuwa się ich brak. Na jednym ze swych wykładów w Polsce Painlevé,

fot. Henryk Hermanowicz

„Święty wieczór" (Kobziarz)

słynny twórca filmów naukowych skarżył się, że w Paryżu istnieje tylko 6 takich pracowni i twierdził, że fakt ten opóźnia szereg odkryć i wynalazków. W Polsce dotąd tylko Uniwersytet Warszawski i Politechnika Wrocławska korzystały z własnych pracowni filmowych. Obecnie młody Uniwersytet Łódzki będzie miał również do dyspozycji specjalny ośrodek badań filmowych. W Żyrardowie Dział Filmów Oświatowych posiada rozwijającą się stację przyrodniczą. Tu znajdują się terraria, akwaria, wiwaria i specjalny aparat do zdjęć mikroskopowych. Jest to ośrodek realizacji filmów z dziedziny botaniki i zoologii.

W Krakowie znajduje się ośrodek realizacji filmów z dziedziny sztuki, etnografii i geografii. Do wybitnie wartościowych obrazów tej kategorii należą: „Kraków w epoce romańskiej", „Opactwo w Oliwie", „Renesans w Polsce", „Gotyk", „W dolinie Dunajca", „Zima w Tatrach", „Jeziora Mazurskie".

Oliwa jest ośrodkiem produkcji filmów oświatowych o morzu, pracy rybaków i żeglarstwie, Gliwice produkują filmy przemysłowe i techniczne.

Filmy opracowuje się w dwóch wersjach: skróconej, dźwiękowej dla świetlic, kin objazdowych, programów aktualności, oraz w wersji szkolnej, niemej i przystosowanej do pomocy w nauczaniu. Obecnie akcja filmowo-oświatowa obejmuje przeszło milion młodzieży szkolnej. Na największą trudność natrafia sprawa objęcia akcją filmową szkół na wsi, która najbardziej potrzebuje pomocy szkolnych, nie tylko zresztą w postaci filmów oświatowych. Wieś jest niezelektryfikowana. Można wprawdzie — i powinno się — przydzielić poszczególnym okręgom rozpowszechniania filmów oświatowych agregaty, które umożliwiają projekcję we wsiach bez światła, jednak nie rozwiązuje to całkowicie zagadnienia. Film nie powinien być gościem w świetlicy wiejskiej — musi być jej domownikiem.

Już w obecnej chwili 91 proc. szkół w mieście jest objętych akcją filmowo-oświatową, na wsi tylko 15 proc. A miasto posiada przecież 4.339 szkół podstawowych, podczas gdy wieś ma ich około 21.000 (z czego tylko 3.358 co pewien czas trafia film).

Plan sześcioletni przewiduje produkcję 12.000 aparatów filmowych i 10.000 rzutników do przezroczy dla świetlic. W tym roku realizuje się około 100 filmów oświatowych — w przyszłym wyprodukuje się 300. W ramach Tygodnia Oświaty Dział Filmów Oświatowych opracowuje elementarz przezroczowy i filmy z zagadnień czytelnictwa i korzystania z bibliotek.

Wieś nie ma [illegible] teatru, muzeum, rzadko kiedy posiada dom ludowy. Szkoła wiejska nie jest odpowiednio wyposażona w pomoce szkolne. Wieś jest niesłychanie chłonna, ciekawa świata; czeka i prosi o filmy.

Bohdan Węsierski

W obronie pokoju

Na kilka lat przed wojną w jednym z kin warszawskich wyświetlano film, który zawierał taką oto scenę: ulicą maszeruje wojsko, tysiące młodych, zdrowych ludzi w rozkwicie sił. Na chodnikach tłumy pozdrawiają maszerujących żołnierzy. Wśród tłumu stoi milczący człowiek, który nie podziela ogólnej radości. Kiedyś i on tak maszerował, teraz wspiera się na kulach, a zamiast jednej nogi zwisa mu bezwładnie krótki kikut. Aparat filmowy umieszczono poza stojącym inwalidą, nisko, nad chodnikiem. Na pierwszym planie widzimy dwie kule wsparte o bruk, jedną zdrową nogę i żałosny strzęp drugiej. W głębi ekranu zginają się i prostują setki zdrowych nóg żołnierzy w rytmicznym marszu.

Oto jak reżyser bez komentarza rozumowego budzi w widzu opór przeciw wojnie. Brońmy pokoju — powiada mową swoich obrazów — ażeby ci młodzi ludzie maszerujący na wojskowej paradzie nie zajęli niebawem miejsca na chodnikach, wsparci na kulach.

Wspomniany film był filmem pacyfistycznym; ukazywał tylko skutki wojny, pomijał jej przyczyny. Przyczyny te albo nie docierały jeszcze do świadomości reżysera, albo musiały być w jego koncepcji twórczej świadomie zatarte. Ukazanie ich godziłoby w podstawy świata kapitalistycznego, którego artysta był niewolnikiem, film bowiem należy również do arsenału środków propagandy, służącej aktualnym interesom kapitału. Obranie za temat filmu wojny, nawet ukazywanie grozy wojennej nie decyduje jeszcze samo przez się o postawie ideowej twórcy filmu. Szkodliwy dla postępu, szkodliwy dla pokoju jest każdy film, który pochwała przemoc, który ukazuje tryumf zła i budzi lęk i niewiarę człowieka we własne siły, nie znajdując dostatecznie silnych wyrazów potępienia dla przejawów ucisku narodowego, rasowego, ekonomicznego, czy wyznaniowego.

Wojny nie można pokazywać jako sportu polegającego na zabijaniu ludzi, jak to zrobiono w wielu scenach filmu amerykańskiego „Mściwy jastrząb". Ażeby rozbudzić niszczycielskie instynkty człowieka, wystarczy dać możność widzowi spojrzenia na świat oczyma zbrodniarza, jak to się dzieje w wielu filmach amerykańskich reżysera Alfreda Hitchcocka, przede wszystkim zaś w jego filmie „W cieniu podejrzenia".

Szkodliwy dla pokoju jest film, który fałszuje obraz stosunków międzyludzkich, usypia czujność widza, okłamuje go, ukazując świat według uproszczonych schematów, osłabia krytycyzm, podsuwa standaryzowane schematy myślenia oraz płytkie, groźne w skutkach schematy ocen moralnych, który usiłuje pozyskać pobłażliwość widza dla zbrodni, który zbrodniarza czyni widzowi sympatycznym.

Na niebezpieczeństwo, jakim może być film, który propaguje filozofię przemocy, słabość i rozbicie duchowe człowieka, zwrócono uwagę podczas Kongresu Wrocławskiego.

Aleksander Fadiejew w swoim przemówieniu kongresowym stwierdził, iż pewien gatunek filmów stoi wyraźnie na usługach tych czynników politycznych, które w swym dążeniu do opanowania świata i urządzeniu go wedle ideałów wojującego kapitalizmu, pragnęłyby pozbawić ludzi swobody myślenia, postawić człowieka na czworakach".

Równie ostro ocenili szkodliwość pewnych filmów dla idei pokoju Ilia Erenburg i Jorge Amado.

Nie tylko jednak ujemne, negatywne zjawiska dostrzec trzeba, gdy mowa o roli filmu wobec sprawy pokoju. Coraz liczniejsze są świadome próby, aby film uczynić narzędziem w służbie pokoju, ażeby wznieść skuteczną tamę przeciw zalewowi filmów szkodliwych dla postępu.

Kongres Wrocławski przyniósł deklarację filmowców, w której czytamy:

„Z głębokim żalem stwierdzamy, że produkowane są dziś filmy obliczone na krzewienie nieufności i nienawiści między narodami, głoszące hasła rasowej nieufności i propagujące wojnę. Twórcy filmowi! Brak poczucia naszej odpowiedzialności w pracy twórczej jest równoznaczny z niespełnieniem misji, jaką nakłada na nas ludzkość, która wymaga od nas, byśmy świadczyli o prawdzie. Wzywamy przeto wszystkich producentów, naszych kolegów artystów i rzemieślników, aby odmawiali swego współudziału w produkcji filmów głoszących zło i nienawiść. Wzywamy wszystkich pracowników zatrudnionych w wynajmie i kinoteatrach, jak również szerokie rzesze publiczności, aby nie współdziałały przy rozpowszechnianiu tych filmów"...

Jeszcze przed tą deklaracją odbył się festival filmowy w Mariańskich Łaźniach pod hasłem: „O nowego człowieka, o szczęśliwą ludzkość". Festival ten, w którym brało udział 18 krajów Europy i Ameryki, stał się manifestacją na rzecz pokoju.

Innym przykładem mobilizacji filmu do walki o pokój i postęp jest światowa Unia Filmu Dokumentarnego powstała w czerwcu 1947 roku w Brukseli. Tak zwana Deklaracja Brukselska, stanowiąca statut ideologiczny Unii, której siedzibą wybrana została Warszawa, głosi, iż Unia ma służyć sprawie pokoju, postępu i sprawiedliwości społecznej. Twórcy filmu dokumentarnego mają obowiązek prowadzić walkę z wrogami pokoju i demokracji, przeciwstawiać się uciskowi narodowemu, rasowemu, ekonomicznemu czy wyznaniowemu oraz starać się wyzwalać świat przy pomocy swoich dzieł od klęsk społecznych jak choroby, nędza, analfabetyzm i krzywdy społeczne.

Jak silną wymowę posiadać może film dokumentarny przykładem są prace Jorisa Ivensa (np. „Indonezja"), filmy dokumentarne polskie, włoskie i francuskie.

Potężny ruch w obronie pokoju, którego kolebką stał się Wrocław, zatacza kręgi coraz szersze, obejmuje wszystkie kraje i wszystkie dziedziny myśli i twórczości. Na Kongresie Wrocławskim znalazło się wielu filmowców gotowych walczyć o pokój. Niedawno zebrał się w Paryżu nowy Kongres w obronie pokoju. I tym razem nie zabrakło na nim ludzi filmu, którzy pragną, aby film stał się cennym narzędziem upowszechnienia kultury, nie instrumentem budzenia nienawiści, aby więcej było filmów w rodzaju „Curie-Skłodowskiej", czy „Emila Zoli", mniej „Mścicwych Jastrzębi".

Stanisław Grzelecki

Osoby, którym znane są szczegóły biograficzne (miejsce, data urodzenia, właściwe nazwisko) dotyczace Ginczanki Zuzanny oraz okoliczności jej zgonu zechcą je podać pod adresem: K. Wyka, Kraków, Basztowa 15 m. 8.

IRENA SKOWRONKÓWNA

KSIĄŻKI DLA DZIECI

Ostatnimi czasy weszło w zwyczaj, że artykuły poświęcone literaturze dla dzieci, jeśli nawierały syntetyczne uwagi dotyczące tego działu piśmiennictwa, zajmowały się nieomal wyłącznie narzekaniem na niski poziom książki. Pojawiły się — jakże uzasadnione — wypowiedzi bijące na alarm z powodu „krzywdy na młodszych", protestujące „przeciw znęcaniu się nad dzieckiem i językiem". Przytaczano liczne wyjątki z książek dla najmłodszych, które mogłyby się stać ozdobą działu „Camera obscura", a nawet sam ten dział, pociągnięty atrakcyjnością tematu poświęcił mu sporo uwagi i miejsca, przedstawiając czytelnikom najrozmaitsze „ośle figle" zaczerpnięte z książek dla dzieci. Gdy mowa o literaturze dla młodzieży starszej podkreślano brak nowej tematyki, ciągłe posługiwanie się dawnymi a dziś już nieaktualnymi książkami. — Znane z dzieciństwa, wspominane z rozrzewnieniem powieści, jakże często odbiegają niestety od ducha naszego czasu, jakże często nasuwają wielkie wątpliwości wychowawcze.

Czyż więc w ciągu kilka lat od zakończenia wojny nic nie zrobiono w tej dziedzinie? Czy Ministerstwo Kultury i Sztuki i Ministerstwo Oświaty są bezsilne wobec tego zalewu tandety artystycznej? Czy wysiłki poważnych firm wydawniczych nie mają żadnego znaczenia?

Spróbujmy z okazji „Tygodnia Oświaty" zrobić krótki bilans pracy w tym zakresie, przedstawić nie tylko braki, lecz i osiągnięcia pozytywne, z którymi warto się zapoznać.

Pierwsze z tych osiągnięć znalazło wyraz w zmniejszeniu ilości wydanych w ostatnim roku książek. Brzmi to paradoksalnie, a jednak jest sukcesem, gdyż w wyniku usilnej walki ze złą książką, wyeliminowano znaczną część pozycji bezwartościowych.

Jeśli w r. 1946 wydano 422 i w 1947 343 książki dla dzieci i młodzieży, to w r. 1948 — tylko 341. Tę obniżenie ilości dotyczy głównie książek dla najmłodszych, które jednocześnie były książkami najsłabszymi. W rubryce tej mieliśmy w r. 1946 — 348, a w r. 1947 — 293 książki, gdy w r. 1948 liczba ich spada do 108. W latach 1946 i 1947 książki dla najmłodszych stanowiły ponad 50 proc. całej produkcji wydawniczej dla dzieci, w r. 1948 — tylko jedną trzecią. Różnica uderzająca. Zmniejsza się, wyraźnie się zmniejsza ilość „Oślich figli", „Pociesznych obrazków" i „Milych książeczek".

Dzięki metodom organizowania rynku wydawniczego, kompetencjom Ministerstwa Kultury i Sztuki i Ministerstwa Oświaty i działalności Komisji do Spraw Przydziału Papieru Drukowanego, bezwartościowe książki zostają usunięte z naszej literatury. Jeśli teraz jeszcze spotyka się artykuły poświęcone złym książkom, przed którymi słusznie ostrzega się rodziców i wychowawców, jeśli podaje się przykłady zaczerpnięte z tych książek, to przykłady te dotyczą w ogromnej mierze książek wydanych w r. 1946 i 1947, które dotychczas zapełniają wystawy i półki księgarskie. W r. 1948 książek takich wyszło bardzo niewiele, a wysiłki organizatorów rynku wydawniczego idą w tym kierunku, aby w r. 1949 nie ukazała się ani jedna taka książka.

Podobny obraz widzimy w literaturze dla dzieci starszych. Znikają z naszej literatury tak lubiane przez dziewczęta „Krzywdy sieroty", „Nieuchwytne skarby" i „Małe księżniczki", nad którymi wylewano morze łez, w których bohaterka była tak cudownie piękna i znajdowała tak pięknego i bogatego męża — i które prostą drogą prowadziły do lektury Mniszkówny, Courts-Mahlerowej i Della. Z dawnej literatury zostają książki tylko naprawdę wartościowe. Rok wydawniczy 1949 rozpoczynamy w lepszych warunkach. Część pracy polegająca na usunięciu rzeczy złych, bezwartościowych została w znacznej mierze już wykonana.

Drugi pomyślny objaw — to zmniejszenie ilości wydawców. Ze względu na to, że wydawanie książek dla dzieci przynosiło znaczne dochody, a żadne kwalifikacje wydawców nie obowiązywały, ilość wydawców była bardzo duża. W r. 1946 wynosiła ona 80, w r. 1947 — 102, a w r. 1948 spadła z powrotem do 78. Jest to jeszcze w dalszym ciągu liczba ogromna, uniemożliwiająca racjonalne planowanie, zwłaszcza że wśród tych wydawców znaczna większość (bo 51) — to wydawcy dorywczo tylko zajmujący się wydawaniem książek dla dzieci, (którzy w ciągu r. 1948 wydali jedną lub dwie książki).

Jedakże na tym tle wystąpiło zjawisko, które — zdaje się — będzie miało decydujące znaczenie dla dalszego rozwoju naszej literatury dla dzieci i młodzieży, a mianowicie na czoło wydawców w r. 1948 w zakresie tego działu wysunęły się zdecydowanie trzy instytucje: „Książka", „Nasza Księgarnia" i „Wiedza", wydając łącznie 113 książek, a więc jedną trzecią całej rocznej produkcji wydawniczej dla dzieci i młodzieży („Czytelnik" w 1948 r. zmniejszył swą działalność w tym zakresie, wydając 13 książek). Obecnie, po połączeniu „Książki" i „Wiedzy" w jedną instytucję wydawniczą — na rynku wydawniczym dla dzieci są dwie wielkie instytucje, to jest „Nasza Księgarnia" i „Książka i Wiedza", ich praca przede wszystkim może zadecydować o jakości naszej literatury dla dzieci.

Jedną z pierwszych trosk tych instytucji jest zastąpienie bezwartościowych wydawnictw dla dzieci młodszych książką dobrą i tanią, udostępnienie wszystkim dzieciom pięknego dorobku naszej literatury. „Książka i Wiedza" rozpoczyna wkrótce druk drobnych książeczek w cenie około 30 zł., które będzie można dostać wszędzie, w kiosku na ulicy, na jarmarku, a które dziecko będzie mogło kupić z własnych oszczędności. „Nasza Księgarnia" projektuje serię tanich książek ozdobionych dwukolorowymi ilustracjami, a z inicjatywy Referatu Literatury dla Dzieci i Młodzieży w Ministerstwie Kultury i Sztuki przystępuje do realizacji serii książek obrazkowych dla dzieci w wieku przedszkolnym.

Rozporządzając potężnym aparatem swych czasopism dla dzieci „Nasza Księgarnia" projektuje powiązanie akcji wydawniczej z czasopismami w formie biblioteczek „Iskierek" lub „Płomyka".

W tych projektach widoczne jest dążenie do jak najszerszego upowszechnienia książki. Prócz omawianych dwóch instytucji wydawniczych, pracować będą pozytywnie nad rozwojem naszej literatury dla dzieci inne spółdzielnie, a więc w pierwszym rzędzie „Czytelnik" a następnie „Światowid", „Wydawnictwo Zachodnie" i inne oraz poważne firmy prywatne.

Pędziemy nadal świadkami wznawiania wartościowych dzieł literatury zarówno naszej jak ogólnoświatowej. Baśnie Andersena, Robinson Cruzoe, Chata Wuja Toma, książki Porazińskiej, Zarembiny, Brzechwy i i. nadal będą przemawiać, wzruszać i zachwycać dzieci. Obok tych książek powstać jednak musi literatura nowa, obejmująca problematykę współczesną. Brak takiej literatury wyrównają częściowo tłumaczenia wybitnych dzieł światowej literatury dla dzieci i młodzieży, w pierwszym rzędzie literatury radzieckiej ze względu na jej problematykę i ciekawe osiągnięcia. Przed autorami polskimi stoi jednak wielkie zadanie stworzenia nowej literatury dla młodzieży. Czekają na swe opracowanie życiorysy wielkich postaci z naszej przeszłości, uczonych, artystów, i działaczy rewolucyjnych, czekają na nowe opracowanie wszystkie nieomal działy literatury: od książek historycznych poprzez społeczno - obyczajowe aż do przygód i podróży. Mimo poważnego dorobku naszej literatury braki są duże, lecz wiele znaczy świadomość tych braków i uznanie potrzeby ich zapełnienia. Już dzisiaj można powiedzieć, że na odcinku książki dla dzieci i młodzieży wychodzimy z okresu chaosu i rozpoczynamy okres planowej pracy.

Irena Skowronkówna

KSIĄŻKI · KSIĄŻKI

»Wiersze zebrane«

Włodzimierz Słobodnik: Wiersze zebrane. „Wiedza". Warszawa. 1948; str. 302 i 2 nl.

Pierwszy tom Słobodnika ukazał się w roku 1927 i zawierał kilkadziesiąt wierszy. W „Wierszach zebranych" umieścił z nich autor zaledwie siedem. Wszystkie one manifestują wyłącznie sprawność techniczną poety. W wydanym dwa lata później zbiorku „Cień skrzypka" dostrzegamy już zarys pewnej ideologii poetyckiej, pewnej postawy społecznej autora. Akcent położony jest na powagę pracy fizycznej, na wzniosłość codziennej prostoty, na urok zwyczajności. Przeważają tematy sielskie, ale spotykamy tu m. i. niezwykły wiersz o łączności międzynarodowej ludzi pracy pt. „Pochód", a także wzruszającą manifestację patriotyzmu w wierszu „Ghetto" i pacyfizmu w wierszach „O wojnie" i „Iliada". W roku następnym wyszedł trzeci tom „Nowa muza". Nowością jest w nim zdecydowany ton społeczny niektórych wierszy, jak np. „Na śmierć Sacca i Vanzettiego", „New York", „Dwudziesty wiek", „Bezrobotni", „Górnikom angielskim", „Już czas" i „Robotnicy". Jest w nich ślad czasu, czasu kryzysu i narastającej grozy wojennej. Jednocześnie daje się zauważyć coraz doskonalsza sprawność techniczna poety. Czwarty tom jego wierszy „Spacer nad Wisłą", wydany w roku 1931, jest wyrazem pełnej dojrzałości poetyckiej. Stanowi najbardziej doskonały formalnie tom wierszy, ale jest zarazem najbardziej egotyczny — nie dotrzymał w nim poeta wiary nowej muzie. Sielanka i erotyka święcą w tym tomie pełne tryumfy. Rzecz lenartowiczowska i rzecz muzyczna, to jedynie tematy wytrzymujące teraz miarę jego inspiracji. Wirtuozeria niektórych wierszy sięga szczytów doskonałości. Oto przykład połączenia czystości lirycznej, z moralną samokrytyką kwietystycznej postawy poety

„I ja w Pompei byłem, gdzie kamienny łucznik
Smuklał na postumencie
U bram jej starożytnych, cały w złotych włóczniach
Heliosa. W róż odmęcie.

Znalazłem czyste piękno w białym tym basenie,
Nad którym laur się chwili.
Nie pomny na nic, tylko piękno miałem w cenie
I czar słonecznej chwili.

Dlatego mnie Wezuwiusz w ogniu swych zawiei
Pogrzebał i przysypał lawą obojętną,
Gniewny, że nie znalazłem innej tu idei
Nad rozkosz i nad piękno".

Mimo tak surowego osądu swej bukolicznej postawy, ten sielsko-lenartowiczowski panuje nadal w przeważającej mierze w następnych jego zbiorach: w cyklu „Pamięci matki" (1934), „Wierszach" (1936), i „Niepokoju wieczornym" (1937). Dopiero wiersze z okresu ostatniej wojny pisane na obczyźnie, zebrane w tomie „Dom w Fergianie" (1941—1945) przynoszą nowy ton; bo tęsknotę za utraconym krajem. „Wiersze napisane po powrocie do kraju" w latach 1945—1948, przeważnie elegijne, zamykają dwudziestoletni przeszło krąg doświadczeń poetyckich Włodzimierza Słobodnika. Dałyby się one zamknąć w orbicie oznaczonej nazwiskami: Wergiliusz, Lenartowicz, Staff i Tuwim z nieznacznymi śladami wpływów klasycznej poezji rosyjskiej oraz amerykańskiego poety Walta Whitmana.

Trwałą wartością tych harmonijnych i czystych wierszy jest niepodrobiony humanistyczny ton: w każdym z nich, nawet najbardziej sielankowym, widać obnażone serce czułego i bardzo ludzkiego poety.

Marian Piechal

Książka szuka swego czytelnika

(Dokończenie ze strony drugiej)

ratu kontroli, a zatem nikogo nie alarmuje żaden zły objaw. Gdyby się ktoś chciał zastanowić nad przyczynami tego stanu rzeczy, doszedłby zapewne do przekonania, że działa tu w pierwszym rzędzie brak tradycji w liczeniu wyników pracy oświatowej. I to jest jasne, jeśli się zważy, że dotychczas oświata nie kosztowała zbyt wiele. Do odzyskania niepodległości u nas — w krajach kapitalistycznych utrzymuje się to w dalszym ciągu — budżety oświatowe stały na szarym końcu innych resortów państwowych, pracowników oświatowych opłacało się zaś tak kiepsko, że dla kompensaty za podarte buty wymyślili oni mit o niewymierności pracy oświatowej, co miało ją wywyższyć nad inne. Oświata kosztowała mało, więc i troska o wyniki była odpowiednia do wydatków. Obecnie sytuacja jest zasadniczo inna. Budżet oświatowy w Polsce jest jednym z poważniejszych budżetów, tempo rozbudowy szkół i bibliotek wzrasta i daje gwarancję, że warunki upowszechnienia oświaty będą w krótkim czasie stworzone na skalę wystarczającą i dobrą. Należy więc liczyć się z tym, że rygory gospodarki planowej zaczną obowiązywać i w pracy oświatowej i że trzeba będzie dokładnie zdawać sprawę z tego, czy te duże pieniądze wydawane są celowo. Tak jak w przemyśle mówimy nie tylko o ilości cukrowni i dostarczonych do nich buraków, ale i o wyprodukowanych przez nie tonach cukru i spożyciu tego cukru na głowę ludności w ciągu roku, tak i tutaj wypadnie legitymować się nie tylko ilością bibliotek i tomów, ale czytelników i wypożyczeń, wypadnie odpowiedzieć na pytanie, jacy są czytelnicy, i co czytają.

Bez takich danych wszelkie planowanie w dziedzinie rozbudowy i zaopatrywania bibliotek, nawet jeśli jest tak doskonale skomponowane jak plan rozbudowy sieci bibliotek publicznych w planie 6-letnim (i to zarówno pod względem struktury organizacyjnej, jak i polityki gospodarowania tytułami na różnych stopniach tej sieci) — będzie tylko częściowe i jednostronne.

Jeszcze bardziej sprawa komplikuje się, gdy zechcemy wziąć pod uwagę biblioteki społeczne, które przecież w bardzo dużym stopniu uzupełniają działalność bibliotek publicznych, pomnażając ich stan w ilości tomów o ca. 30%. Tutaj w ogóle trudno mówić o planie w dotychczasowej działalności i o jakichkolwiek możliwościach planowania na przyszłość. Cała energia organizacji społecznych wyczerpywała się dotychczas w dość bezplanowym zakupie książek. Zagadnienie należytej organizacji bibliotek, celowego i ekonomicznego administrowania nimi, kontrolowania ich pracy i przydatności właściwie nie istniało. Przyczyna tego stanu rzeczy jest prosta i zrozumiała. Biblioteki nie było zupełnie, w pierwszym więc porywie łatania powojennych braków zabrano się do ich zakładania w tym przekonaniu, że wystarczy kupić książki i że tym może się zająć ktokolwiek. W ten sposób, nieoczekiwanie ale i poza jakimś planem czy koncepcją narosła sieć bibliotek społecznych, których pomierzenie zarówno pod względem jakości jak i wykorzystania będzie sprawą niezmiernie trudną. Trzeba liczyć się również z tym, że bardzo wiele z tych bibliotek to pozycje martwe. Jakie biblioteki społeczne utrzymają się wobec wymogów planowania ich działalności, następnie, jaka powinna być ich struktura organizacyjna, aby były zdolne do życia, wreszcie — sprawa dotycząca zarówno bibliotek społecznych jak publicznych — jak ma wyglądać sprawozdawczość, aparat kontroli ich działalności — oto rzeczy bardzo istotne i nowe, nowe nie w tym sensie, że biblioteki obywały się dotychczas w ogóle i w zasadzie bez elementów kontroli, ale nowe w skali.

Nowoczesna struktura organizacyjna bibliotek powszechnych, wprowadzona przez państwo w budowaniu sieci bibliotek publicznych, którą należałoby zastosować również do bibliotek społecznych, wymaga uzupełnienia nowoczesnym aparatem kontroli, takim aparatem kontroli, który w ramach gospodarki planowej, pozwoliłby na stały i precyzyjny pomiar przydatności społecznej inwestycji bibliotecznych i dostarczyłby danych do planowania ruchu czytelniczego i jego organizacji, a także do pewnego stopnia do planowania wydawniczego.

W rozważaniach dotychczasowych odbiegliśmy dość daleko od punktu wyjściowego, od czytelnika, co znowu jest dowodem, że w problemie bibliotecznym jesteśmy jeszcze od niego dalecy, jak akcja biblioteczna daleka jest od zasad gospodarki planowej. Bo cechą tej ostatniej jest przecież nie co innego jak zharmonizowanie potrzeb człowieka z planem i możliwościami produkcyjnymi, przestrzeganie zasady, że motorem rozwoju produkcji jest człowiek i jego potrzeby.

Nieznany czytelnik i jego zainteresowania, czytelnik, którego dopiero trzeba zdobyć, czeka jeszcze na odkrycie, na to, żeby go policzono, pomierzono i zbadano, czeka również na jakieś zabiegi wzmacniające i lecznicze. Środki po temu istnieją już w dużym stopniu, w ciągu roku 1949 będziemy mieli pełną sieć bibliotek gminnych, zaś biblioteki społeczne i różne akcje dodatkowe, udostępniające książkę, znakomicie pomnażają ilość tych środków i ich zasięg. Idzie jeszcze o kilka spraw, które, jeśli nie narzucają się naszemu spostrzeżeniu w całej swojej wadze, to dlatego właśnie, że brak nam pomiarów i liczb, że brak przemawiającej do wyobraźni architektury planu, w którym potrzeby człowieka są wskaźnikiem dla innych rubryk.

Sprawą docenianą jest potrzeba obsłużenia bibliotek przez ludzi fachowych i przygotowanych. Wiadomo, ilu bibliotekarzy jest, ilu potrzeba, istnieją plany szkolenia. Nie jestem jednak pewna, czy w treści szkolenia, w projektowanym modelu bibliotekarza, znajdują należyty wyraz zmiany wynikające z unowocześnienia naszej gospodarki, które narzucają możliwość i konieczność unowocześnienia pracy bibliotecznej.

Na jej treść dotychczasową składała się w pierwszym rzędzie znajomość techniki opracowywania książek, a zatem wypisywania dużej ilości różnego rodzaju kart i to, jeśli rzecz miała być zrobiona dobrze, pięknym druczkiem, którego opanowanie było jedną z kwalifikacji zawodowych. Obecnie całe to zagadnienie powinno odpaść przez zastosowanie druku. Wtedy umiejętność katalogowania czy klasyfikowania książek będzie pracą kilku specjalistów, zrobioną dobrze i od razu na potrzeby całego kraju. Trudno dalej przechodzić do porządku nad nonsensem, jakim jest zatrudnianie wielkiej ilości ludzi przy ręcznym wypisywaniu, jakby od epoki klasztorów benedyktyńskich nic się w zakresie słowa pisanego nie zmieniło.

Natomiast coraz wyraźniej zarysowuje się potrzeba dwóch różnych typów pracowników bibliotecznych odbiegających od dotychczasowego modelu bibliotekarza. Z jednej strony potrzebni są organizatorzy ruchu książki i administratorzy central bibliotecznych, obsługujących punkty biblioteczne. Przygotowani do pracy administracyjno-statystycznej umożliwią oni uzyskiwanie danych liczbowych, które oddadzą prawidłowo treść działalności bibliotek i posłużą jako element kontroli i planowania. Z drugiej strony potrzebni są pracownicy przygotowani do pracy z czytelnikiem w znacznie szerszym zakresie niż dotychczas. Sprawa znajomości literatury, umiejętności doboru książek dla poszczególnych czytelników, znajomości środków zainteresowania książką, będzie miała ogromne znaczenie przy werbowaniu nowego, masowego czytelnika. To musi być obok nauczyciela drugi równie fachowy i świadomy pracownik oświatowy, który polityką spotkań czytelnika z książką potrafi kierować, łącząc interes czytelnika z interesem społecznym.

Dorywcze obserwacje czytelnictwa, zwłaszcza w środowiskach odległych od ośrodków życia kulturalnego wskazują, że bibliotekarz w punkcie bibliotecznym to rzeczywisty i prawie jedyny regulator ruchu książki z półek do rąk czytelników. Dlatego tym bardziej wymaga on przygotowania do pracy i dalszej opieki i pomocy.

Tej pomocy mogą mu dostarczyć w pierwszym rzędzie organizacje społeczne zarówno w organizowaniu ruchu czytelniczego jak i w uruchamianiu wszelkich środków propagandy książki. Brak nie tylko dobrych, ale jakichkolwiek bibliotekarzy, brak czytelników w bibliotekach jest tak alarmujący, że choć nie poparty cyframi i zebranymi w całość dowodami, zmusza do potraktowania tego faktu jako zagadnienia dnia.

Jeśli „Popiół i diament" Andrzejewskiego, „W okopach Stalingradu" Niekrasowa, „Wszędobylski" i „Kordian i cham" Kuczkowskiego są w tej chwili najbardziej czytanymi książkami w bibliotekach „Czytelnika", ma to swoje określone powody. Pierwsza książka wywołała ożywione dyskusje, na popularność „Kordiana i chama" pracowały szkoły, podając go jako lekturę szkolną, i kółka samokształceniowe na wsiach. „W okopach Stalingradu" fascynuje samym tytułem (kto nie pamięta swoich wzruszeń i nadziei z roku 1942?). „Wszędobylski" jest jedną z niewielu książek, które popularyzują wiedzę łatwo i ładnie dzięki szacie graficznej; tę książkę musi zresztą już wypychać w świat bibliotekarz, który zna się na rzeczy. Przykłady powyższe zmierzają do stwierdzenia faktu, że książki bez pomocy dodatkowych środków i prac czytelników nie znajdą, chyba że tytuł sam apeluje do ich uczuć, ale i wtedy muszą najpierw przyjść do biblioteki. A jeśli nie przychodzą?

Tydzień oświaty, książki i prasy, który jest chyba największą imprezą tego rodzaju w ostatnich latach, musi się stać punktem zwrotnym w dziejach niewyzyskanych bibliotek, musi zaprząc do pracy duże zasoby społecznej energii, musi być początkiem planowego działania w zakresie propagandy i organizacji czytelnictwa.

Ludmiła Pretschke

Książki

KTÓRE UZYSKAŁY NAJWIĘKSZĄ ILOŚĆ RECENZJI

1947 r.

M. Bek	— Szosa Wołokołamska . .	33 recenzje
J. Hen	— Dzieje włóczęgi	29 „
A. Gołubiew	— Bolesław Chrobry . . .	26 „
J. Iwaszkiewicz	— Nowele włoskie	26 „
W. Żukrowski	— Piórkiem flaminga . . .	26 „
M. Priszwin	— Korzeń życia	21 „
J. Furzik	— Reportaż spod szubienicy	21 „

1948 r.

J. Andrzejewski	— Popiół i diament . . .	46 recenzyj
L. Rudnicki	— Stare i nowe	45 „
A. Rudnicki	— Szekspir.	35 „
J. Broszkiewicz	— Oczekiwanie	31 „
T. Borowski	— Pożegnanie z Marią . .	26 „
St. Dygat	— Pożegnania.	24 „
Wł. Kowalski	— Dalekie i bliskie. . . .	20 „
A. Rudnicki	— Żołnierze	20 „

Tydzień bibliograficzny

LITERATURA

Jerzy Kossowski. Zielona kadra. Nowele. Wydanie trzecie. Okładkę projektował **St. Lipiński.** Wrocław, Książnica-Atlas, 1949; str. 228 i 4 nl.

Michał Lermontow. Bohater naszych czasów. Przełożył **Wiktor Luboradzki.** Przedmową opatrzył **Czesław Zgorzelski.** Łódź, Wł. Bąk, 1949; str. XXVIII i 229 i 9 nl.

Biblioteka Polonistyczna. Seria Mickiewiczowska. **Adam Mickiewicz.** Pan Tadeusz. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1948; str. 4 nl. i 636 i 6 nl.

Edmund Miller. Świta już zaranie. Opowieść staroświecka. Łódź, Wł. Bąk, 1948; str. 121 i 5 nl.

Władysław Orkan. Kostka Napierski. Powieść z XVII wieku. Wydanie trzecie. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1948; str. XXVII i 1 nl. i 284.

Teodor Parnicki. Srebrne orły. Powieść z przełomu wieków X i XI. Wydanie drugie. Okładkę projektowała **Z. Czerwińska.** Wrocław, Książnica-Atlas, 1949; str. 545 i 3 nl.

A. S. Puszkin. Córka kapitana. Tłumaczył **T. Stępniewski.** Wstępem opatrzył **Czesław Zgorzelski.** Łódź. Wł. Bąk, 1948; str. 187 i 5 nl. i 6 knl.

Śląsk. Podróż malownicza w 21 pieśniach. Wyśpiewał **Bogusz Zygmunt Stęczyński.** Do druku przygotował, wstępem i objaśnieniami opatrzył **Franciszek Pajączkowski.** Wrocław. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1949; str. XXXV i 1 nl. i 212.

Teodor Tiutczew. Wiersze wybrane. Przełożyli: **Kazimierz Andrzej Jaworski Tadeusz Stępniewski, Julian Tuwim.** Poprzedza studium **K. W. Zawodzińskiego.** Łódź, Wł. Bąk, 1948; str. XXXIX i 1 nl. i 175 i 1 nl. i 2 knl (portrety autora).

HISTORIA

Stanisław Helsztyński. Ave Roosevelt (Panorama amerykańska), Warszawa, „Ex Libris", 1949; str. 377 i 3 nl i 1 knl (mapa).

Józef Widajewicz. Początki Polski. Okładkę projektowała **Z. Czerwińska.** Wrocław, Książnica-Atlas, 1948; str. 162 i 2 nl.

NAUKA O LITERATURZE

Biblioteka Polonistyczna. **Jan Dür-Durski.** Arianie polscy w świetle własnej poezji. Zarys ideologii i wybór wierszy. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych 1948; str. 319 i 1 nl.

PLASTYKA

Mieczysław Opałek. Drzeworyt w czasopismach polskich XIX stulecia. Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1949; str. 69 i 3 nl. i 20 knl. rycin.

PODRĘCZNIKI SZKOLNE

Biblioteka Ziem Odzyskanych. **Dziurzyński.** W królestwie buka. Warszawa. Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1948; str. 92.

Biblioteka Fizyczno - Astronomiczna. **Antoni Opolski.** Gwiazdy. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1948; str. 51 i 1 nl.

Biblioteka Fizyczno-Astronomiczna. **Eugeniusz Rybka.** Słońce. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1948; str. 63 i 3 nl.

Biblioteka Ziem Odzyskanych. **Mieczysław Tobiasz.** Światowej sławy pszczelarz polski ks. dr Jan Dzierżon. Warszawa, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, 1948; str. 43 i 1 nl.

W poprzednim 18 (231) numerze „Odrodzenia": Kongres w obronie Pokoju Paryż — Praga zakończył swe obrady; — **Julian Przyboś:** Węgiel i marmur — **Leon Kruczkowski:** Tematy Amerykańskie (I); — **Roman Bratny:** Mecz z Armią Renu; — **Igor Sikirycki:** Wołanie drzew; — **Józef Maśliński:** Teatr twórczej pasji (z powodu występów Państwowego Moskiewskiego Teatru Dramatycznego); — **K. I. Gałczyński:** Romancero — **Julian Stryjkowski:** Listy z Rzymu: Wiosna w Trastevere; — **Wiera Inber:** Oblężone miasto (Z pamiętnika leningradzkiego), przełożył **Ziemowit Fedecki;** — Wystawa Związku Plastyków Okręgu Warszawskiego; — **Julian Starzyński:** O realistycznej tradycji malarstwa polskiego; — **Janina Korolewicz - Waydowa:** Opera ludowa; — **Stanisław Goluska:** Drobiazgi francuskie; — Książki: **Andrzej Braun:** „Szramy"; **Wacław Kerabiewicz:** Matto Grosso; — Tydzień Bibliograficzny; **Zofia Szleyen:** Malarstwo meksykańskie w walce o postęp; — Camera Obscura; — Korespondencja: **Jerzy Pomianowski:** W sprawie „Oślich figlów"; — 33 ilustracje; — 16 stron.

Do Redaktora „Odrodzenia"

W świątecznym nr „Orodzenia" ukazały się dwa opowiadania podpisane moim nazwiskiem, w których poczyniono zbyt daleko idące skróty, bym mógł poczuwać się do ich autorstwa.

Grzegorz Lassota

SPROSTOWANIE

W moim artykule „Faust potępiony" („Odrodzenie" nr 15 (228) opuszczono w szp. 3, w 17 od dołu, kilka słów, przez co sens został w istotny sposób zniekształcony. Odnośne zdanie winno brzmieć: „Wystarczy zwrócić uwagę, że zarówno życie tzw. pra-Fausta, człowieka ze schyłku ery średniowiecza, jak też Fausta-Leverkühna ze schyłku ery mieszczańskiej, kończy się w tragicznym odosobnieniu katastrofą...".

Egon Naganowski

IGNACY WITZ

KUKRYNIKSY

Wśród sztuk plastycznych, jedna jest dziecięciem walki, które żyje i rozwija się w okresach regulujących i zmieniających historię. Dziecięciem tym jest karykatura polityczna. Chwile jej najwyższych wzlotów pokrywają się zwykle w historii ludzkości z tymi momentami, w których toczą się zażarte konflikty klasowe. Żyje ona przemijającą chwilą, zdarzeniem dnia, aktualnością. Cecha jej jest celność strzału i siła ciosu, jej siłą jest masowość. Siłą jej jest

Aleksy Tołstoj

rewolucyjna żarliwość i nienawiść wroga. Bronią jest obnażanie, demaskowanie, ośmieszanie i wydrwienie przeciwnika. Jest to broń niezawodna, gdyż śmieszność jest klęską dla niegodziwców przebranych w szlachetne szaty i dla zbrodniarzy udających dobroczyńców ludzkości, dla tych wszystkich, którzy maską miodowej eufemistyki zakrywają swoje twarze morderców.

Społeczna rola satyry i karykatury politycznej jest ogromna. Zasięg jej oddziaływania z każdym dniem powiększa się równolegle z toczącą się walką, równocześnie z postępem technicznym. Sprawa jej powodzenia to przede wszystkim polityczna trafność, polityczna ostrość oraz sugestywność wyrazu plastycznego. Musi ona połączyć w jedną integralną całość momenty treściowe, polityczne z przekonywającą, czytelną formą plastyczną. Musi atakować i ranić, w tym leży jej siła.

Historia sztuki europejskiej, zwłaszcza ostatnich stu pięćdziesięciu lat zna wielkich twórców, którzy pracowali głównie w tej dyscyplinie i stworzyli trwałe, nieprzemijające dzieła. Plejada tych twórców pilnie, choć na razie nieśmiało wkroczyła w historię i sztukę w dniach Rewolucji Francuskiej. Dzieła ich ożywiały bojowników na barykadach, znajdowały się w rękach komunardów i żołnierzy Wiosny Ludów, towarzyszyły

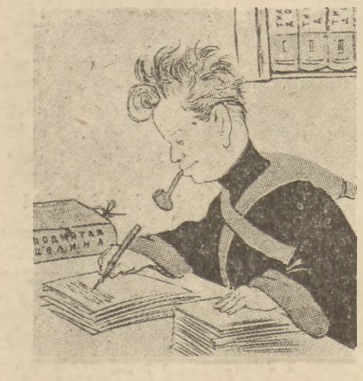

Michał Szołochow

w walce na wszystkich frontach w czasach wojen i w czasach pozornego pokoju. Wciskały się na fabryki, wodły półlegalny, a często zupełnie nielegalny żywot, honorariami zaś ich twórców były nierzadko wyroki sądowe jak to zdarzyło się Honoriuszowi Daumier za skierowaną przeciw Ludwikowi Filipowi karykaturę pod tytułem „Gargantua".

Cechą charakterystyczną istnienia i rozwoju karykatury było i jest ciągłe jej trwanie w ofensywie. W miarę zaostrzania się walki klasowej, w miarę wzrostu społecznych sił postępu, w miarę rozwoju sztuki drukarskiej, rozszerza się zasięg działania karykatury, powiększa się jej siła i wzrasta jej zapotrzebowanie.

W obecnej chwili satyra polityczna, karykatura jest często najbardziej lapidarnym wykładnikiem ideologii społecznej, polityki i ekonomii, ujmującym treść ich problematyki z dużą dezynwolturą skrótów. Wśród wielu współczesnych artystów, zajmujących się obecnie karykaturą, nie brak wielkich nazwisk nie tylko wyróżniających się poziomem swych prac artystów, ale odważnych bojowników o postęp i pokój. Wśród nich znajdujemy anglosasa Wiliama Groppera, Francuza André Fougerona, stale prześladowanego ostatnio przez policję ministra Mocha, Mittelberga z paryskiej „Action" i wielu wielu innych.

Wśród tych wielkich nazwisk pozycję niewątpliwie przodującą zajmują czołowi radzieccy plastycy Michaił Kuprianow, Porfiry Kryłow i Mikołaj Sokołow, znani całemu światu pod nazwą KUKRYNIKSY.

Ich artystyczna działalność rozpoczęta z górą dwa dziesiątki lat temu już w okresie startu, wykazała jak wiele mają oni do powiedzenia w dziedzinie politycznej satyry, jaki ładunek ideologiczny i plastyczny zawiera ich twór-

Wialentin Katajew

czość. Satyra Kukryniksów od zarania ich twórczości skierowana jest przeciw wszystkim siłom reakcji, przeciw wszystkim zewnętrznym i wewnętrznym wrogom postępu, wichrzycielom i awanturnikom politycznym, w pierwszym rzędzie zaś przeciw klasowemu wrogowi proletariatu i Związku Radzieckiego, przeciw faszystom i imperialistom.

W rozległej galerii postaci demaskowanych przez Kukryniksów w przebiegu ich twórczości znajdziemy wszystkich znajomych z drugiej strony barykady, całą paradę grubych ryb i płotek wstecznego obozu od zachodnich i japońskich interwentów poprzez rodzimą czarnosecinną białogwardyjską reakcję Kołczaka i Denikina aż po anglosaskich mężów stanu i departamentu stanu czasu imperialistycznej ery atomowej.

Najwyższe napięcie twórczości Kukryniksów jako satyryków politycznych przypada na okres wojny z hitleryzmem. Cała nienawiść wolnego człowieka do faszyzmu, do kata i zabójcy, całe szaleństwo wodzów III Rzeszy i ich satelitów zostało pokazane w potężnym tyglu satyry Kukryniksów. W czasie wojny twórczość ich wyszła poza przyciasne dla niej ramy szpalt gazetowych, rozwijając się na bardziej masową, bardziej rewolucyjną i agitacyjną skalę. Doświadczenia i tradycja sowieckiego plakatu satyrycznego zainicjowanego w czasie Rewolucji Październikowej przez „Okna Rosta" a wykonywanego przez Włodzimierza Majakowskiego, pokazały Kukryniksom drogę. Podczas wojny Kuprianow, Kryłow i Sokołow wykonywu-

Michał Kuprianow, Porfiry Kryłow i Mikołaj Sokołow

ją szereg wspaniałych wielonakładowych barwnych plakatów litograficznych oraz biorą wybitny udział w pracach nad masowym plakatem malarskim, tzw. „Oknami Tass".

Powodzenie swoje zawdzięczają Kukryniksy nie tylko sile politycznej swoich prac. Zawdzięczają je nader wysokiemu poziomowi artystycznemu, znajomości człowieka, doskonałej realistycznej, jasnej i czytelnej formie. Kukryniksy są jednymi z nielicznych dzisiaj rysowników, którzy rozumieją wymowę ludzkiej twarzy, wymowę indywidualnego wyrazu psychicznego. Ich karykatura nie jest groteskowym przerysowywaniem i powiększaniem charakterystycznych szczegółów, ale poniekąd portretem wywlekającym na powierzchnię najistotniejsze, najprawdziwsze a często bardzo głęboko ukryte cechy charakteru rysowanego obiektu. Potrafią oni zobrazować pełny duchowy i ideologiczny obraz karykaturowanej przez siebie postaci nie kosztem rezygnacji z fizycznego podobieństwa — ale przy pomocy najprostszych środków plastycznego wypowiedzenia się.

W okresie wojny Kukryniksy stworzyli galerię typów przywódców hitlerowskich i ich wasali, wśród których arcydziełem był wizerunek Hitlera, obraz szaleńca o błędnym wzroku i długich małpich rękach mordercy. Karykatury Goeringa, Goebbelsa, a zwłaszcza Himmlera nie tylko charakteryzowały ich cechy indywidualne, ale czyniły z nich symbol faszyzmu.

Kompozycyjna metoda budowy rysunków, jaką posługują się ci wielcy artyści sprowadza się do zrozumiałych, ale nieoczekiwanych przenośni i metafor myślowych. W rysunkach Kukryniksów oprócz ludzkich postaci występuje zwykle szereg rekwizytów, czy personifikowanych przedmiotów, użytych z umiarem i zawsze pełnych realistycznego czytelnego sensu. Właśnie przy pomocy realiów i pewnych hiperbolicznych skrótów Kukryniksy uzyskują zamierzone efekty.

Kukryniksy jako artyści czerpią wiele z żywej tradycji realistycznego nurtu rosyjskiej sztuki, z tradycji wielkich rysowników Fiedotowa, Orłowskiego, Daumiera, Agina.

Twórczość tych trzech wspólnie pracujących artystów nie wyczerpuje się jednak w najważniejszej dla nich dyscyplinie, jaką jest satyra polityczna. Z wielkim powodzeniem uprawiają oni przyjacielską karykaturę portretową, którą charakteryzuje doskonała znajomość fizjognomistyki, wyczulenie, zdolność widzenia. Szczególnie interesująca jest galeria karykatur pisarzy radzieckich.

Mniej związana z karykaturą i satyrą jest uprawiana przez Kukryniksów praca ilustratorska. Posiadając doskonałe wyczucie groteski i stylu, wykonali oni szereg ilustracji do dzieł rosyjskich klasyków humoru. Do najpiękniejszych ilustracji należy zaliczyć rysunki do powieści M. Sałtykowa-Szczedryna, w których przy pomocy najskromniejszych środków plastycznych wydobyto w bardzo śmiały sposób element wewnętrznego rozdarcia w twórczości tego pisarza. Doskonała znajomość epok historycznych, znajomość i poniekąd ikonograficzna wierność, wraz z wyczuciem i zrozumieniem tekstu literackiego jest darem ilustratora. Nie wolno mu ani odrobinę skrzywić, skazić czy sfałszować obrazu wytworzonego przez pisarza. Ilustrator musi utrafić w sedno klimatu psychicznego, musi znać doskonale świat realiów, wśród jakich żyją i obracają się bohaterowie ilustrowanego utworu. Należy poznać koloryt, atmosferę i temperaturę dzieła tak dalece, aby ilustracja obracająca się zresztą w ramach ścisłej konwencji literackiej wraz ze słowem stanowiła organiczną całość. Zostało to osiągnięte przez Kukryniksów w ilustracjach do utworów Mikołaja Gogola „Martwe dusze", „Nos", „Szynel", „Staroświeccy ziemianie" i „Rewizor". Ilustracje do utworów Gogola są wybitną pozycją w istniejącym już dotychczas dorobku ilustracyjnym do dzieł autora „Ożenku", który ilustrowany jest od stulecia przez najwybitniejszych artystów a zwłaszcza przez wspaniałego rosyjskiego ilustratora XIX wieku — Agina. Oprócz wymienionych powyżej pozycji Kukryniksy wykonali ilustracje do opowiadań Antoniego Czechowa i Lwa Tołstoja.

Zupełnie odrębnym działem pracy Kukryników jest uprawiane przez nich indywidualne malarstwo sztalugowe oraz zespołowa praca nad dużymi tematycznymi płótnami. Zasadnicze, omówione powyżej cechy ich twórczości, przejawiają się również i w tej dziedzinie ich pracy z jednym zastrzeżeniem, że obrazy te pozbawione są umowności i przerysowań, koniecznych w karykaturze. W dorobku swoim Kukryniksy posiadają wielkie płótna tematyczne o ostatniej wojnie jak np. „Podpisanie paktu o bezwzględnej kapitulacji Niemiec", „Tania", „Ucieczka Niemców z Nowgorodu" oraz ostatnie płótno „Koniec", przedstawiające finał hitleryzmu.

Za obraz „Koniec" Kukryniksy otrzymali w ostatnich dniach nagrodę Stalinowską pierwszego stopnia.

Ignacy Witz

Ilustracja do powieści „Martwe dusze" M. Gogola

Satyryczny plakat wojenny „Bezlitośnie zniszczymy wroga"

Być może, że z tego szmelcu uda nam się wykuć jakąś oś

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 2000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura"**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 16**, dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć**, najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 2000 zł.**, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiednie kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Wyprzedaż remanentów międzywojennych

Czy jest różnica między zamówieniem społecznym a zamówieniem firmy „Dobrolin", „Puls", czy „Strójwąs". Chyba tak, mimo to często widzimy, jak to autor wprowadza w swój utwór mechaniczne zmiany w naiwnej i chytrej nadziei, że te z m i a n y, to właśnie p r z e m i a n y. Jest to najprostszy (żeby nie użyć słowa prostacki) sposób ocalenia za jednym zamachem — honoru i honorarium.

Wiąże się ta sprawa z pewnymi remanentami międzywojennymi i to nie tylko w postaci psychicznych obarczeń, lecz dosłownie w postaci zapasu utworów, których autor nie zdążył wydrukować w tamtym okresie i rad by uczynić to dzisiaj, oczywiście po wściebieniu w utwór hurra-lewicowych przerywników. Pamiętamy wszyscy, że w okresie międzywojennym stanowiła pornografia najbardziej „rynkowy" towar. Nic też dziwnego, że nowa rzeczywistość zaskoczyła wielu spośród piszących z walizami niewykorzystanej pornografii w ręku i w... głowie.

Leży przed nami wśród wielu innych powieść Wandy Melcer pt. „Wyspa szczęścia". Wanda Melcer jest — jak wiadomo — pisarką postępową. Czy warto jednak swoją postępowość wykorzystywać od wielu lat przede wszystkim po to, by wbić w głowy zacofanego ludu jedną jedyną prawdę. Prawdę o tym, że nie bociany, lecz co innego sprowadza dziecko na świat. Pani Wando, nie przeceniajmy ciemnoty ludu.

Tytuł książki Wandy Melcer myli czytelnika. Kiedyś, dwadzieścia lat temu, piszący te słowa uległ odwrotnej pomyłce. Poprosił w czytelni o „Podręcznik rodzenia dzieci" Awierczenki. W treści nie znalazł jednak spodziewanych „kawałków".

A oto „kawałki" z „Wyspy szczęścia":

I Janka wypiła za wiele, wydaje jej się, że nie ma ciała, że jest sama rozkoszą, samym czuciem, samą wrażliwością, samymi nerwami. Potem jest samą skórą, którą on głaszcze, potem samą ręką, która go odpychając przyciąga, potem samymi zębami, które dzwonią o jego zęby, jest tą, która doznaje, i tą, która pozwala doznawać, i głowa jej się kręci jak na karuzeli: ten sufit, ten sufit!

Ryszard przegina się na bok i leci w niezgłębioną przepaść, ale tam, o, jakie chłodne i jakie tym chłodem miłe prześcieradło ze lnu, jak ślisko głaszcze rozpaloną skórę.

Tyle na stronie siódmej. Potem — rzecz dzieje się podczas okupacji — Ryszarda, męża Janki i działacza konspiracji Niemcy aresztują. Janka, także działaczka, rozpacza, ale do czasu, gdy:

W pewnej chwili Janka poczuła rękę Władysława na swojej nodze i przysunęła się do niego, ocierała się łydką o jego nogę, przeciągała pieszczotę, nadawała jej swoisty rytm.

Władysław — by awans społeczny Janki był oczywisty — jest nie tylko działaczem, lecz również robotnikiem... Nazajutrz:

„Zamknęli potem (wiadomo po czym" — przyp. nasz) *starannie drzwi wejściowe i trzymając się pod rękę wyszli triumfalnie na ulicę 6 Sierpnia, a potem do tramwaju. Janka stała tuż przy Władysławie, korzystali z chybotania się wozu, żeby się przytulić, żeby się objąć rękami, Janka przesadzała strach przed napierającym tłumem, żeby mocniej przylgnąć do kochanka. Ta gra tak ich zajmowała, tak sugerowała sprawy, które się odbywały w nocy, że byliby przejechali przystanek.*

I dalej:

„Zrobiwszy to wszystko (nie „to", ale zaraz „to" będzie... przyp. nasz) *...wyszedł do niej zupełnie nagi, tylko na biodrach miał małe majteczki kąpielowe czerwonego koloru...*

Położyli się oboje na brzuchach, blisko siebie i twarz przy twarzy, pragnęli się...

(Patrz Rabelais: „Nocka głucha — brzuch do brzucha" — przyp. nasz).

Wyciągnęła usta, dotknęła wargami szramy, poczuła jej szorstkość, jej gruzłowatość i zapach skóry, jasnych włosów pod pachą, pokrytych kroplekami potu, jak rosa, która stoi nad rankiem na źdźbłach trawy, przemieszany zapach wody, piasku, bo ja wiem, czego jeszcze?

I znowu:

Janka liczyła teraz na palcach zwycięstwa, których jej Władysław dostarczał. Nocą miał ją i dział na wszystkie strony, nie mógł się nią nasycić. Całkowicie w mocy wielkiego zwierza, łamała się pod jego ciężarem, żeby znów najrozkoszniej ożyć. Chciał ją zniszczyć, chciał ją spalić, chciał ją swoim tchem zniweczyć. Krzyczał: masz mnie, masz, masz, weź.

Wiedziała, że go ma, cała wolę wytężyła w tym kierunku, żeby do przyjąć jak najdokładniej, nic z niego nie zostawić. A potem go wypraszę — myślała — nie będę płakać, nie zmienię się do ostatniego dnia, niech jedzie, niech pracuje, niech wszystko o Polsce opowie...

W antraktach: patriotyzm i walka klas:

— Wiesz, czego najbardziej żałuję? Że nic nie umiem, że się nie uczyłem, no, że nie mam szkół. Nie te czasy były. Robociarski brzdąc — i szkoła! — roześmiał się — komu by to na myśl przyszło, dzieci robociarzy uczyć. Kto by po fabrykach pracował, jakby każdy był taki mądry? O widzisz, o to. Teraz najbardziej o to, całą parą. O taką Polskę, robociarską, uczciwą.

On o Polsce, a ona:

...żeby znów poczuć jego twarde pieszczoty i ciężar.

I czasem jeszcze wyrzuty sumienia na wspomnienie męża w obozie i rozgrzeszenie:

Nie było rady, mimo woli porównywała w myślach tych dwóch samców, jedynych, jacy ją kiedykolwiek posiadali. Ani mowy, porównanie bezwzględnie wypadało na korzyść Władysława.

(..robotnik... górą nasi! przyp. nasz).

Tytuł książki nie powinien mylić. Otwierając powieść Brandysa wiemy, że tam w środku będzie „Między dwiema wojnami". Tytuł książki Melcer winien brzmieć: „Między dwoma samcami"!

P. S.

Wobec pogróżek, napływających do redakcji pod adresem „Camerzysty", śpieszymy powiadomić ewentualnych „zamachowców", że „Camera" redagowana jest kolejno przez spory zespół ludzi. Nawet udały „zamach" na aktualnego w danym tygodniu redaktora nie uchroni więc „zasłużonych" od wzmianek w tym miejscu. — Nas mnogo!! — jak mówili Rosjanie szturmujący Berlin.

Redaktor Naczelny: JERZY BOREJSZA Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 80-664 i 40-180 wewn 22 — Redakcja przyjmuje od g. 11 do 13. Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 12, tel. 810-26
Drukarnia nr 2 „Czytelnik". Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 100 zł, kwartalna 300 zł — Konto w PKO — I. 4739 R-7002 Wydawca: Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik"